

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**JERZY PILCH**

**INNE ROZKOSZE**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# I

Gdy w roku pańskim 1990 doktor weterynarii Paweł Kohoutek spojrzął w okno i ujrzał idącą przez ogród swą aktualną kobietę, z właściwym sobie pyszałkowatym fatalizmem pomyślał, iż przydarzyła mu się przygoda, która winna być ostrzeżeniem dla wszystkich. Aktualna kobieta Kohoutka miała na sobie granatowy płaszcz, jej boską czaszkę okrywał filuterny kapelusik, ogromna zaś waliza, którą wlokła za sobą, pozostawiała w białej listopadowej trawie ciemny trakt ostatecznej klęski.

Gdyby przyjechała na krótko jedynie rozmówić się ze mną, gdyby złożyła mi tylko przypadkową i niezapowiedzianą wizytę, i tak byłaby to wystarczająco wstrząsająca historia, pomyślał Kohoutek. I tak byłaby to historia godna książki. Ale aktualna kobieta Kohoutka nie przyjechała w odwiedzin. Oburącz taszczyła walizę, na szczupłych zaś ramionach dźwigała wypełniony po brzegi plecak. Choć Kohoutek znał ją zaledwie od siedemnastu tygodni, doskonale wiedział, co znajduje się w walizce, a co w plecaku. W walizce były książki, a w plecaku cała reszta należących do niej przedmiotów. Kohoutek mógł, zamknąwszy oczy, ściśle wymienić rzecz po rzeczy, mógł bez trudu wyliczyć wszystkie części garderoby: siedem czarnych podkoszulków, dwie białe bluzki, dwie męskie koszule w kolorze khaki, jeden szary dres z białymi wypustkami, trzy czarne spódnice mini, jedna para dżinsów, dwie pary czólenek na płaskim obcasie, kozaczki nad kolana, które aktualna kobieta Kohoutka odziedziczyła po matce, czarny golf, szara męska tweedowa marynarka, w której wyglądała świetnie, rajstopy i kilkadziesiąt par wyłącznie białych majtek rozmaitego kroju. Tak, aktualna kobieta Kohoutka spakowała cały swój dobytek i przyjechała, by wreszcie po siedemnastu tygodniach straszliwej męki krótkotrwałych spotkań zamieszkać z Kohoutkiem na zawsze. Uregulowała należności, wysprzątała pokój, zdjęła z półki wszystkie wydane po polsku książki Milana Kundery, *Kusiciela* Brocha, *Historię filozofii* Tatarkiewicza, tomiki wierszy Stanisława Barańczaka i Ryszarda Krynickiego. Z perwersyjną pieczołowitością spakowała też dzieła zebrane najwybitniejszego żyjącego polskiego pisarza, którego wielbiła czytelniczko i platonicznie, a o którego Kohoutek był zazdrosny wcale nie platonicznie, Kohoutek był on zazdrosny jak zwierzę i wiedział co czyni: najwybitniejszy żyjący polski pisarz należał do nieśmiertelnego pokolenia niestrudzonych łowców kobiet. Słowem – aktualna kobieta Kohoutka spakowała swoje rzeczy i książki, oddała klucze właścicielce, poszła na dworzec PKS, kupiła bilet i pojechała do rodzinnej miejscowości Kohoutka. Nigdy tam przedtem nie była, ale z opowieści Kohoutka doskonale знаła tę zamieszkałą wyłącznie przez ewangelików augsburskich osadę.

Kohoutek ma nieznośnie sentymentalny zwyczaj opowiadania swym aktualnym kobietom o ziemi cieszyńskiej. One wpatrują się weń, starają się, jego zdaniem, daremnie, poskromić swój nieumiarkowany zachwyty, on zaś snuje opowieści o Parteczniku, Dziechcince i Jurzykowie, opowiada o domu, który zbudował jego pradziadek, mistrz masarski Emilian Kohoutek oraz o ogrodzie, który był kiedyś dziedzińcem wielkiej rzeźni. Rzecz jasna,

Kohoutek wie, iż nawyk opowiadania aktualnym kobietom o stronach rodzinnych jest nie tylko nieznośnie sentymentalnym nawykiem. Kohoutek wie, iż nawyk ten jest także zgubnym nawykiem. W każdym razie w tym właśnie przypadku – myśli Kohoutek, spoglądając na idącą przez ogród swą aktualną kobietę – w przypadku tej niewyobrażalnej historii mam powody, aby myśleć o zgubie. Stanowczo nie powinien był jej opowiadać o ziemi cieszyńskiej, nie powinien był jej mówić ani słowa o sobie, nie podawać adresu, imienia, nazwiska, nie zgadzać się na wszystko, nie obiecywać jej nieistworzonych rzeczy, nie przebywać w jej szaleńczym towarzystwie.

Jakże daremne, jakże retorycznie puste i, na szczęście, jakże krótkotrwałe były żale Kohoutka. Nie trzeba było wsiadać do autobusu pośpiesznego linii A. Nie trzeba było tysiąc razy krążyć pomiędzy jedną a drugą miejscowością. Nie trzeba było zadawać żadnych pytań, a zwłaszcza nie trzeba było zadawać pierwszego pytania. Najmocniej przepraszam, co pani czyta? Nie trzeba było kruszyć centralnego układu nerwowego nadmiernymi dawkami świata. I tyle. Kohoutek usłyszał, a może wyszeptał pierwsze wersy wielkiego lamentu; wspomnienie lewiatanowego wnętrza autobusu pośpiesznego linii A, w którym ujrzał ją po raz pierwszy, przemknęło mu przez głowę, ale nic więcej. Na dalsze ciągi najpiękniejszych nawet pod względem stylistycznym lamentów nie było czasu. Kohoutek przyglądał się idącej przez ogród swej aktualnej kobiecie, jego mózg zaś pracował z zabójczą precyzją. Kohoutek zastanawiał się, czy ktoś z domowników już ją zauważył.

Aktualną kobietę Kohoutka mogła zauważyć matka Kohoutka. Mógł ją zauważyć ojciec Kohoutka. Mogła ją zauważyć Pastorowa lub Pastor. Mogła ją zauważyć pani Wandzia lub matka pani Wandzi. Mogła ją zauważyć Oma, babka Kohoutka. Pan Naczelnik, dziadek Kohoutka, mógł głęboko nabierając powietrza nabrać zarazem pewności, iż ktoś blisko z Kohoutkiem związany jest w ogrodzie. Aktualną kobietę Kohoutka mogło też widzieć dziecko Kohoutka i mogła ją dostrzec żona Kohoutka. Mogli ją zauważyć wszyscy. Ale przy odrobinie szczęścia, a raczej przy ogromie szczęścia, mógł jej nikt nie zauważyć. Trwały ostatnie przygotowania do jutrzejszych urodzin Omy, a poza tym od rana, a właściwie od wczorajszego wieczora, uwaga domowników była zaabsorbowana dwoma litrami pulpetów wołowych ukrytych gdzieś przez Omę, babkę Kohoutka. Rzecz była pilna, gdyż pulpety miały termin przydatności do spożycia tylko osiem dni. Od czasu kupna upłynęły już dwa dni. Czas zmierzał nieubłaganie ku definitywnym formułom – dwulitrowy słój pulpetów wołowych, których termin przydatności został przekroczony, oznacza eksplodującą siarczanymi płomieniami wieczność.

Na trop przypadłych bez wieści pulpetów naprowadziła wszystkich Pastorowa, pytając przy wieczerzy, co z pulpetami. Z jakimi pulpetami? odparła pytaniem na pytanie matka Kohoutka. Z tymi pulpetami, które kupiłam wczoraj, pytam, ponieważ one mają termin przydatności do spożycia tylko osiem dni, a tu dwa dni już przeszły.

– Oma – matka Kohoutka zwróciła się do Omy, babki Kohoutka; matka siedziała obok niej i zwykle ze względu na głuchotę Omy raz jeszcze głośno i wyraźnie powtarzała, co mówiono przy stole; Kohoutkowi, którego trudno byłoby nazwać nieuprzedzonym świadkiem zdarzeń, zawsze wszak wyda-

wało się, że wśród domowników panuje tajemny zwyczaj przekazywania kwestii z ust do ust. – Oma – co z pulpetami, które wczoraj kupiła Pastorowa? Pytam, ponieważ mają one termin przydatności do spożycia tylko osiem dni.

– Są w lodówce – odparła Oma.

Zdarzyło się to wczoraj, ale Kohoutek pamięta to tak dobrze, jakby zdarzyło się to dzisiaj. Kohoutek widzi samego siebie: tak, to on! Kohoutek! Kohoutek wstaje zza stołu, udaje się do spiżarni, otwiera lodówkę i zagląda do środka. Liczne potrawy znajdują się na oświetlonych polarnym blaskiem półkach, ale pulpetów wołowych nie ma tam niezbitcie.

Gdy okazało się, że pulpetów nie ma też w innych dostępnych śmiertelnikom miejscach, dla wszystkich stało się jasne to, co i tak przeczuwali. Pulpety musiały podzielić los parówek, frankfurterek, klopsików, bitek, wędzonych kurczaków, pieczeni, flaków, kiełbas i tylu innych pokarmów, skrzętnie i na ogół bezpowrotnie ukrywanych przez Omę.

Przebieg wczorajszych poszukiwań jeszcze raz wypełnia opartą o szybę głowę Kohoutka. Choć działo się to wczoraj, tym razem Kohoutkowi wydaje się, iż działo się to przed laty. Szukano cały wczorajszy wieczór i całe dzisiejsze popołudnie. Jednakże w miarę upływu czasu wśród zniecierpliwionych bezskutecznością swych działań poszukiwaczy jęła szerzyć się demoralizacja. Widmowe emblematy apatii, niechęci a nawet buntu, z wolna zaczynały pojawiać się nad głowami znużonych penetratorów.

Pastorowa, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie brała udziału w poszukiwaniach. Zaraz po obiedzie, który składał się z zupy grzybowej z makaronem, cielejących kotletów mielonych, surówki z czerwonej kapusty, ziemniaków oraz kompotu z czereśni, natychmiast po przełknięciu ostatniego kęsa, po wykwinnym wypluciu pestki ostatniej czereśni na spodek, Pastorowa zła i zniecierpliwiona zamętem – to wzmagających się, to słabnących poszukiwań, przebrała się i pojechała do domu zborowego na spotkanie koła pań. Pastor oświadczył, iż sprawdzi, czy słoń nie został ukryty za książkami w jego gabinecie. Z nieco przesadną skrzętnością zatrzasnął za sobą białe lakierowane drzwi i natychmiast zapadła tam martwa cisza, jasno dowodząca, iż znowu ogarnęło go natchnienie i w niezwykłym pośpiechu, połykając litery i słowa, pisze jedno ze swoich płomiennych kazań. Oma, ukrywszy pulpety, sama zaszyła się nie wiadomo gdzie, a raczej wiadomo, najpewniej tam gdzie zawsze. Żona Kohoutka uczyła się języków obcych. Dziecko Kohoutka oglądało telewizję satelitarną. Dziadek spał łapczywym snem krótkowidza, któremu jedynie we śnie jest dane ujrzeć dalekie perspektywy. Pani Wandzia grała na skrzypcach, matka zaś pani Wandzi podglądała ją przez dziurkę od klucza, pani Wandzia bowiem nieraz, zamiast ćwiczyć, grała proste kawałki z pamięci, czytając równocześnie rozłożoną na pulpicie powieść miłosną – słowem było tak, jak zawsze.

Jedynie rodzice Kohoutka nie ustawali w poszukiwaniach. Ale na razie byli na strychu. Z góry słyhać było przesuwanie mebli, skrzypienie otwieranych szaf i wysuwanych szuflad – nie do powtórzenia dźwięki towarzyszące odsłanianiu najtajniejszych skrytek. Znając rzetelność swoich starych Kohoutek dobrze wiedział, iż nieprędko uniosą głowy, by spojrzeć w okno. Tak czy inaczej nie było więcej czasu do stracenia.

Aktualna kobieta Kohoutka szła przez ogród, który był niegdyś dziedzińcem wielkiej rzeźni. Na ramionach dźwigała wypełniony rzeczami plecak, za sobą zaś wlokła walizkę pełną książek.

Kohoutek zbiegł na parter, bezszelestnie przemknął przez przedpokój, odchylił deskę w boazerii i tajnym przesmykiem, którego używał ostatnio trzydzieści lat temu w trakcie występnych gier dzieciennych, przedostał się na werandę. Zapach jabłek miał w sobie intensywność jesiennego gromu. Kohoutek uchylił oszklone pomarańczowymi szybami drzwi werandy i stopy jego spoczęły na znużonych trawach listopada. Okrążając dom jął biec na spotkanie. Nie przez samego siebie prowadzony zmierzał ku najbardziej apokaliptycznej randce swego życia.

## II

Kohoutkowi zawsze wydawało się, że urodziny Omy były świętem większym od wieczerzy wigilijnej, od wielkopiątkowego postu, od wielkanocnego śniadania, większym od zakończenia roku, od noworocznego obiadu, większym od Pamiątki reformacji.

W listopadowe popołudnie, w dzień urodzin, domownicy i goście zasiadali za stołem. Oma, ubrana w granatową suknię z surówki oraz narzucony na ramiona kożuszek, z poważną miną, bez cienia uśmiechu, słuchała toastów. Matka Kohoutka, żona Kohoutka i niektóre z zaproszonych pań krążyły pomiędzy jadalnią a kuchnią, wnosząc kolejne dania. Pani Wandzia grała na skrzypcach. Śpiewano pieśni ze starych kancjonałów. Doktor Oyermał wygłaszał przemowę za przemową.

Urodziny Omy były wstępem, rozwinięciem i zakończeniem wielkiego całorocznego wypracowania. Już nazajutrz niektóre z nietkniętych dań wracały do zamrażarek. Zapasowe, naszykowane na wszelki wypadek obrusy matka raz jeszcze prasowała i układała na ich wiekuiстых miejscach w bielizniarce. Narysowany przez ojca na brystolu plan stołu, miejsca, gdzie kto ma siedzieć, oraz spisany na arkuszu papieru kancelaryjnego scenariusz obchodów urodzin Omy: część religijna, modlitwa, numery pieśni, toasty, przemówienia oraz kolejność dań, wszystko to starannie zwijano, składano i chowano w kredensie. Chowano na krótko, na okamgnienie, na rok za ledwie. Na rok, który z oszalamiającą prędkością przetaczał się wraz ze swoimi upałami, deszczami i śnieżycami nad dachem domu.

W niecałe dwa tygodnie po urodzinach Omy zaczynał się adwent i ze zdwojoną energią szykowano się do świąt. Kohoutek budził się nieraz o tej najciemniejszej porze i już o czwartej nad ranem, w czerniach kruczej nocy, rozświetlanej jedynie pojedynczymi światłami rozpościerającego się w dolinie uzdrowiska, słyszał odgłosy dochodzące z kuchni; dochodziły też stamtąd zapachy pieczonych ciast. Święta zbliżały się i mijały w niesamowitym pośpiechu. Domownicy zasiadali do wieczerzy wigilijnej, kładli się spać, o świcie sadzano Omę w fotelu na biegunach, otulano ją kocami i pledami, i czyniąc z wiekowego mebla rodzaj świątecznego wehikułu, rodzaj sań godowych, wieziono naszą nieśmiertelną choć ledwo się ruszającą Omę na jutrznię. Był bożonarodzeniowy obiad, przed sylwestrem matka Kohoutka piekła pączki, Nowy Rok i karnawał trwały, zdawać by się mogło, nie dłużej jak godzinę, ani się człowiek obejrzał, przychodził wielki post. Lasy na zboczach gór dalej były zamarznęte, nie poruszyła się ani jedna gałązka, ani jedno źdźbło przeistoczonej w lód trawy, ale był już wielki post, szły przygotowania do świąt Wielkiejnocy, zaraz po świętach wybuchała wiosna, my starzy ewangelicy a zarazem prawdziwi narratorzy tej historii nie możemy się powstrzymać, by nie powiedzieć, iż wiosna na Śląsku Cieszyńskim ma w sobie raptowność reformacji, nagłe upały wzdłuż i wszerz przemierzały te ziemie niczym innowiercze ognie. Matka Kohoutka o świcie wychodziła do ogrodu i wracała o zmierzchu, by zająć się jedzeniem. W ciągu wiosny i lata wypadało co najmniej kilkanaście uroczystych obiadów,



urodziny ojca Kohoutka, urodziny matki pani Wandzi, zjawiali się nieoczekiwani goście, letnicy pytali o pokoje do wynajęcia, na kilka dni przyjeżdżał doktor Sztwiertnia z córkami, ziemia pod stopami była sucha i ruchoma jak igliwie, zapach mieszanych lasów łączył się z zapachem olejków do opalania, paliła się Barania Góra i z okien na strychu widać było kłęby dymu i pomarańczowe języki ognia. Wszyscy mieszkańcy stali na szczytach okolicznych gór i przyglądali się dorocznemu pożarowi, jedynie zagubione w wysokiej luterańskiej trawie pary pogrążonych w zgubnych żądzach katolików nie mogły się od siebie oderwać i, znieruchomiałe, dosłownie u naszych stóp, czekały na koniec widowiska. Sierpień był już chłodniejszy, dno rzeki powoli ciemniało, we wrześniu, w najpiękniejsze dni, zdarzały się przymrozki, a o zmierzchu, gdy wciągnęło się głęboko powietrze, czuło się w jego zapachu obecność pierwszych śniegów zaczajonych w niebiosach. Zbliżały się urodziny Omy. Trawa w ogrodzie, który był kiedyś dziedzińcem wielkiej rzeźni, żółkła. Urodziny Omy zbliżały się z każdym dniem. Czas, odkąd Kohoutek pamięta, był zawsze oczekiwaniem na jej urodziny, które miały się odbyć za rok. Za pół roku. Za miesiąc. Za tydzień. Jutro.

### III

Obiegł dom i ujrzał swą aktualną kobietę idącą wzdłuż ogromnego okna jadalni. Świeciło się tam światło, nakrywano stół do wieczery, zasłony nie były zaciągnięte. Ona szła prosto przed siebie, nie ulegała najnaturalniejszemu w świecie odruchowi, nie odwracała głowy w stronę omiatającej ją poświaty, nie zaglądała do oświetlonego wnętrza.

– Bestia, wie, że mnie tam nie ma, i nawet nie patrzy – pomyślał zacząjony za węglem Kohoutek. Panie Boże, nie wzywam Twego imienia nadaremno, ale skąd ta kobieta zawsze i wszędzie wszystko wie? Skąd ona wie, że mnie nie ma w jadalni?

Gdy wreszcie doń dotarła, postąpił krok naprzód i ujął jej dłoń. Nie objął jej, nie powiedział ani słowa, wziął ją jedynie za rękę i, odwróciwszy się, powiódł w bezpieczne miejsce.

Kluczyli po szachownicy światła, jaką prostokąty oświetlonych okien wyznaczały w trawie, poruszali się tylko po ciemnych polach. Szli prędko, prawie biegli. Aktualnej kobiecie Kohoutka było coraz ciężiej i dyszała coraz chrapliwiej. Kohoutek nie zdjął jej z ramion plecaka ani nie pomógł nieść walizki; w desperacji, jaka go ogarnęła, włókł ją za sobą, szarpał za rękę i raz po raz boleśnie ścisnął jej palce. Wszystko to czynił po części bezwiednie, po części zaś po to, by świadomie ją ukarać za kłopot, jaki mu uczyniła swym niesłychanym przybyciem.

My, starzy zbereźnicy, obserwujący tę scenę ze śmiechem, ale też z pełnym swoistego współczucia lękiem, możemy dodać, iż złość i desperacja Kohoutka podszyte były racjonalną przebiegłością. Kohoutek dobrze zdawał sobie sprawę, iż śpiesząc z pomocą swej aktualnej kobiecie pogłębia w gruncie rzeczy ryzyko, potęguje dramatyzm sytuacji. Teraz wszakże ktoś mógł nie tylko dostrzec jego aktualną kobietę w ogrodzie, teraz ktoś mógł zauważyć i samego Kohoutka u jej boku. Mało tego, ktoś mógł również zwrócić uwagę na brak Kohoutka w domu, lada chwila mógł się rozleć czyjś okrzyk: Kohoutku, gdzie jesteś? Matka Kohoutka mogła na przykład, zauważywszy czapkę Kohoutka w przedpokoju, domyślić się, iż jak zwykle lekkomyślnie i jak zwykle nie wiadomo po co wybiegł on na dwór bez czapki, mogła więc, zabrawszy czapkę, ruszyć w ślad za Kohoutkiem; mogło się wydarzyć tysiąc takich przypadków. Ale istniał też jeden przypadek na tysiąc, że nic się nie stanie. A poza tym – co tu kryć – pomimo niesprzyjających okoliczności, Kohoutek był rad, iż widzi swoją aktualną kobietę. Dotykał jej i działało się z nim to, co działało się z nim zawsze, gdy jej dotykał. Kohoutek redukował się wtedy do własnych dłoni. Gdy kiedykolwiek jej dotykał, całe jego istnienie skupiało się w jego dłoniach. Teraz zaś zwłaszcza, rzecz można, iż Kohoutek gorączkowo ściskając rękę swej aktualnej kobiety dosłownie dzierżył cały swój los w kurczowo zaciśniętych palcach.

Włókł ją w stronę starej rzeźni. Aktualna kobieta Kohoutka widziała przed sobą zarośla tak gęste, iż wydały się jej ciemnym wzgórzem, płataniną jodeł, leszczyn, łopianów i trzciny cukrowych; przeszkodą absolutnie nie do przebycia. A jednak Kohoutek wiódł ją rodzajem ścieżki i po chwili w gęstwinie jeły bieleć kruszejące ściany. Drzwi otwarły się bezszelestnie i

kochankowie wstąpili na bezpieczne terytoria. Tu pośród rdzewiejących niczym sezonowe pomniki maszyn masarskich nie powinien już ich ująć żaden pościg. Mimo to, Kohoutek był dalej niespokojny.

– Idziemy na górę – powiedziała i wziął wreszcie z rąk swej skrajnie utrudzonej aktualnej kobiety walizkę.

– Ciężka – warknął z pretensją w głosie i jako pierwszy jął wspinać się po drewnianych schodach.

Gdy aktualna kobieta znalazła się na strychu, z początku absolutnie nie mogła pojąć, do jakiego przybyła świata. Kohoutek, choć opowiadał jej wszystko, nigdy nie wspominał, iż w jego rodzinie istnieje odwieczny obyczaj gromadzenia elementarnych opakowań. Najpierw gromadzono kartony, później nastąpiła epoka gromadzenia woreczków foliowych; swego czasu zbierano też papierowe torebki po cukrze, mące czy ryżu, choć ryż był potrawą rzadko używaną przez ewangelików augsburskich.

Przed aktualną kobietą Kohoutka rozpościerały się prawdziwie kubitstyczne przestrzenie.

Kto wynalazł pierwszy karton na świecie? Kto był twórcą pierwszego pudełka? Z pewnością istnieją encyklopedyści znający daty i nazwiska twórców. Z pewnością też, na piętrze starej rzeźni znajdował się choć jeden egzemplarz pierwszej serii. W każdym razie były tam przedwojenne pudła z czytelnymi do dziś napisami „Paweł Molin Cieszyn artykuły spożywcze, produkty rolne, materiały budowlane”, „Księgarnia i handel papieru Ryszard Płoszka Jabłonków”, „Dom towarowy Scharberta w Ustroniu”, „Fussek i Synowie towary szklane, porcelanowe i galanteryjne”, „Bracia Amsterdam towary plecione i pończochy jedwabne Czeski Cieszyn”.

Wznosiły się tam stosy poniemieckich kartonów z nieczytelnymi dla aktualnej kobiety Kohoutka gotyckimi hieroglifami, masywne sześciany z napisem UNRRA, niezliczone ilości najzwyczajszych szarych kartonów, w których kiedyś pakowano prezenty gwiazdkowe albo paczki więzienne, pudełka, które kiedyś pełne były jabłek albo kruchych naczyń, pudełka pachnące naftaliną, szarym mydłem albo tytoniem. Pudełka do dziś przechowujące zapach lat pięćdziesiątych, zapach pierwszych pomarańcz i pierwszych cytryn. Pochodzące z niejasnych epok kartony zasnuwane kurzem i pajęczyną.

W pierwszym odruchu aktualna kobieta Kohoutka pomyślała, iż Kohoutek przyprowadził ją do tego cmentarzyska opakowań po to, aby uczynić jaki taki porządek. Kohoutek bowiem, istotnie, w osobliwym szale rzucił się na tekturowe piramidy i jął je przerzucać z miejsca na miejsce. Aktualna kobieta Kohoutka dobrze zaś znała jego lęki i nawyki, i wiedziała, iż wpojono mu zasadę, wedle której na wszystko w życiu trzeba zasłużyć sobie nadludzką pracą w nieludzkich warunkach. Wyobraziła sobie więc, iż Kohoutek pragnie uzasadnić jej przybycie, zasłużyć sobie na jej obecność nadludzką pracą uporządkowania strychu starej rzeźni. Kiedy skończą robotę, kiedy wszystkie pudełka zostaną odpowiednio ułożone i posegregowane, zejda na dół, przejdą przez ogród, śmiało wkroczą do jadalni, Kohoutek zaś dobitnie oświadczy:

– Matko, ojczu, żono oraz wy wszyscy, drodzy domownicy, oto moja aktualna kobieta wraz z którą uporządkowaliśmy strych. Ktoś, do jasnej cholery, musiał to wreszcie zrobić.

– Niemożliwe – odpowie Oma, babka Kohoutka, z pełnym niedowierzaniem zachwytem w głosie – sami we dwójkę uporządkowaliście strych? Musieliście się nieludzko natyrać!

Reszta zaś domowników z milczącą aprobatą uczyni im miejsce przy stole i nieoczekiwane przybycie aktualnej kobiety Kohoutka zostanie zalegalizowane za pośrednictwem pieczołowicie kultywowanego w rodzinie Kohoutka etosu nadludzkiej pracy w nieludzkich warunkach. Ale była to tylko mrzonka, która przemknęła przez wypełnioną światem książek niewiarogodną czaszkę aktualnej kobiety Kohoutka. On zaś miotał się wśród kartonów nie po to, by je uporządkować, ale po to, by zbudować z nich rodzaj schronienia czy też legowiska.

– Oto mój mężczyzna buduje dom, w którym razem się zestarzejemy – pomyślała, w gruncie rzeczy bez cienia ironii, aktualna kobieta Kohoutka.

Kohoutek zaś istotnie kładł fundamenty i wznosił ściany. Czynił to ze zdumiewającą wprawą. Zapewne lęk i panika obdarzyły go rodzajem właściwego wielkim konstruktorom natchnienia. W każdym razie sprawiał wrażenie wytrawnego budowniczego prowizorycznych legowisk. Uczynił nawet nad gotowym łóżem coś na kształt baldachimu, co zresztą miało też uzasadnienie praktyczne, ponad usypiskami pudeł wznosił się jedynie lichy, dwuspadowy dach. Kohoutek pomyślał przez chwilę, iż warto by pokryć prowizoryczne zadaszenie foliowymi workami, ale worki foliowe przechowywano w pralni i wyprawa po nie groziła dodatkowymi niebezpieczeństwami. Poza tym, choć w pralni znajdowało się co najmniej kilkanaście tysięcy worków foliowych, matka Kohoutka niechybnie zauważyłaby brak choćby kilku zaledwie. Teraz, kiedy kraj wyzwolił się z moskiewskiego jarzma i prawie w każdym sklepie spowijano jakiś towar w beczenną dawniej folię – matka Kohoutka prawie codziennie zaglądała do pralni, umieszczała tam starannie złożony kolejny eksponat i doskonale orientowała się w zasobach swych zbiorów. Tutaj zaś, na poddaszu starej rzeźni, było bezpiecznie. W każdym razie, od dawna nikt tu nie zaglądał. Ostatnie kartony przyniesiono na strych przed dziesięcioma laty. Europejscy ewangelicy przysyłali w nich wówczas dary – kawę, herbatę, czekoladę, szampony i proszki do prania – ale, co dziwne, z tych najnowszych pudełek ulotnił się wszelki zapach. Nie pachniały stanem wojennym. Pachniały nicością.

Kohoutek pracował bez wytchnienia i nie odzywał się ani słowem. Jego aktualna kobieta siedziała na walizce, paliła papierosa i również milczała. Dopiero gdy skończył, wyprostował się, otarł pot z czoła i zapytał:

– Kiedy przyjechałaś?

– Teraz – odparła aktualna kobieta Kohoutka.

## IV

Kohoutek nie spał, leżał na wznak i rozmyślał. Co robić, Panie Boże, co robić? Panie Boże, nie wzywam Twego imienia nadaremno, ale na miłość boską – co robić?

Ponad dachem domu wznagało się szaleństwo listopadowej nocy, była jedenasta wieczorem, ale o tej porze roku jest to przecież noc głucha, środek ciemnej drogi, ani dojechać, ani zawrócić. Domownicy dawno śpią. Jasne chmury pędzą po niebie z przeraźliwą prędkością niczym łodzie czerwono-skórych, wiekuiście nieruchome góry zdają się dopuszczać do siebie wszelkie możliwości ruchu, a tam, na strychu starej rzeźni, śpi spowita w trzy wełniane koce moja aktualna kobieta.

Co robić? Co robić? Co się stanie, gdy nazajutrz ktoś zauważy, że trzy wełniane koce nie leżą tam, gdzie zwykle? A co się stanie, gdy matka zauważy, że chleb jest krzywo ukrojony i że brakuje sporego kawałka kielbasy myśliwskiej? Powiem, że zjadłem. Ale i tak będzie awantura, że zjadłem byle jak, a nie przy porządnie nakrytym stole. Z kocami gorzej. Lada chwila ktoś zauważy, że trzy wełniane koce nie leżą tam gdzie zwykle i dopiero się zacznie.

Trzy wełniane koce powinny leżeć na drewnianych ławach w pokoju kominkowym. O tej porze roku nikt wprawdzie nie wchodzi do pokoju kominkowego, prawdę powiedziawszy, nikt nigdy nie wchodzi do pokoju kominkowego, ale zawsze strach, że a nuż jutro właśnie ktoś wejdzie. A jak wejdzie, to, ktokolwiek by to był, czy ojciec, czy matka, czy Oma, czy żona, czy dziecko, ktokolwiek by to był, to, nie ma siły, każdy zauważy, że trzy wełniane koce typu pledan nie leżą na swoim miejscu.

Swoją drogą ciekawe, myśli Kohoutek, ciekawe, jak to możliwe, że nikt nigdy nie wchodzi do pokoju kominkowego a wszyscy wiedzą, że na drewnianych ławach leżą tam trzy wełniane, skoczowskie koce. Ciekawy paradoks. Kohoutek pragnie kontynuować swe dociekania, ponieważ podświadomie czuje, iż mogą one przynieść ulgę jego skołatanyim nerwom, ale gdzie tam, nie ma mowy o uldze, kolejny strach przeszywa jego ciało i duszę niczym smoliste ostrze. A co będzie, kiedy rano wszyscy skoro świt zacząną dalej szukać dwulitrowego słoja pulpetów wołowych, których dotąd nie znaleźli, mogą przecież wtedy zacząć szukać w starej rzeźni, a jak nie znajdą w starej rzeźni, wejdą na strych starej rzeźni i wtedy niewątpliwie znajdą, tyle że nie znajdą dwulitrowego słoja pulpetów wołowych, a znajdą moją aktualną kobietę. Zbudowałem wprawdzie schron, do którego nie dotarłby najskrupulatniejszy okupant, ale oni, członkowie mojej rodziny, niewątpliwie dotrą.

Kohoutek obraca się na bok i przybiera pozycję embrionalną, i jak zawsze w pozycji embrionalnej myśli jego obracają się ku zbrodni. Najlepiej – szepcze do siebie ogarnięty nagłą furią – najlepiej byłoby ją zabić. Powiniennem wstać, pójść i ją zabić. Jak znajdą trupa, to i tak będzie awantura, ale nie tak straszna, jak znajdą ją żywą. Jak znajdą ją żywą, to awantura wybuchnie tak straszna, że wszyscy gotowi pozabijać się nawzajem. Ojciec

będzie chciał mnie zabić, dziadek zacznie mnie bronić, wtedy ojciec zabije dziadka, Oma zabije ojca, matka zabije Omę, Pastor zabije matkę, Pastoro-wa zabije Pastora, korzystając z okazji – ponieważ od dawna jej nienawidzi –Pastorową zabije matka pani Wandzi, matkę pani Wandzi zabije córka pani Wandzi, ponieważ nie chce grać na skrzypcach, mnie oczywiście zabije moja żona i w efekcie przez długie tygodnie wszyscy będą na siebie poobrażani do tego stopnia, że nikt nie będzie się do nikogo odzywał.

Obyczaj grożenia śmiercią był pradawnym domowym obyczajem. Koho-utek nieśmiertelne frazy o zabijaniu słyszał, odkąd nauczył się słuchać. Ja cię zabiję, mówiła matka Kohoutka do ojca Kohoutka. Trzeba ją wreszcie zabić, mówili oboje, gdy Oma kolejny raz ukrywała jakąś potrawę. Ćwicz, bo cię zabiję, mówiła matka pani Wandzi do pani Wandzi. Zaraz go zabiję, mówiła Oma, gdy dziadek kolejny raz wracał pijany w trupa.

Kohoutek nigdy nie oswoił się z tą domową retoryką śmierci i za każdym razem przejmował go najprawdziwszy strach, że w końcu, istotnie, ktoś zostanie zabity. Ilekroć przemierzał nie kończące się korytarze, sienie i amfilady, ilekroć zaglądał do izb, do których nikt nigdy nie zaglądał, tylekroć bał się, iż zaraz natknie się na ciało kogoś z domowników owinięte w zakrwawioną folię albo czyjś nieładzko skatowany kadłub, pośpiesznie i byle jak okryty gazetami. Kiedy szedł do ogrodu, zawsze bał się, iż natknie się tam na kawałek świeżo skopanej ziemi ze sterzącą z niej – niczym w tandetnym horrorze – czyjąś martwą dłonią.

Najlepiej – powtarza Kohoutek – byłoby ją zabić. Najlepiej byłoby ją zabić i dobrze ukryć trupa – wtedy nie byłoby żadnej awantury. Albo przynajmniej trzeba z nią wreszcie poważnie i szczerze porozmawiać. Przecież w ciągu tych kilkunastu tygodni myśmy właściwie nigdy istotnie nie rozmawiali. Ja nieustannie kłamałem a ona bez przerwy mówiła o literaturze – przyznaje sam przed sobą Kohoutek. Co robić? Gdzie ją umieścić? O hotelu me ma mowy, bo wszyscy z miejsca by wszystko wiedzieli. Cała zamieszkała wyłącznie przez ewangelików augsburskich miejscowość z miejsca by wszystko wiedziała. A może – błysk niejasnej nadziei rozświetla głowę Kohoutka – a może przedstawić ją jako wczasowiczkę i spróbować ich przekonać, żeby wynajęli jej jakiś pokój? W końcu od lat mówi się o pieniądzach, jakie przyjdą z wynajmowania pokoi, co roku planuje się wynajmowanie pokoi, co roku setki letników proszą o nocleg i za każdym razem spotyka ich szydercza odprawa. Za każdym razem ktoś się nie zgadza, albo starzy, albo Oma, albo matka pani Wandzi. Choć sama wynajmuje pokój, sprzeciwia się wynajmowaniu innych pokoi. Ale na moją aktualną kobietę – myśli Kohoutek – nikt się nie zgodzi. Kiedy ją zobaczą w jej kuriozalnym kapelusiku, wszyscy jak jeden mąż sprzeciwią się wynajęciu jej pokoju choćby na godzinę. Co robić? myśli gorączkowo Kohoutek. Jak długo ona będzie mieszkać na tym strychu? Przecież potrzebne jej będą jakieś wygody, musi się myć, chodzić za potrzebą. Jak ja sobie z tym wszystkim poradzę? Jak ona mogła mi coś takiego zrobić?

Nagle zaskrzypiała podłoga i Kohoutek raptownie usiadł w pościeli, bo przywidziało mu się, że jego aktualna kobieta stanęła w nogach jego łóżka.

– Chodź – powiedział z tym rodzajem nagłej czułości, w jaką niekiedy w ciągu kilku chwil zaledwie obraca się ludzka furia. Majak stojącej przy łóżku postaci pierzchnął, ale czułość pozostała.

Boże mój – pomyślał Kohoutek, Boże mój, nie wzywam Twego imienia nadaremno, ale w końcu moja aktualna kobieta leży tam na strychu przedwojennej rzeźni, oddzielona od kosmosu jedynie warstwą kruszejących dachówek i kawałkiem tektury. Przecież to absurd.

W duszy i ciele Pawła Kohoutka paniczny strach ustąpił teraz miejsca niesłychanej śmiałości. Skoro stać mnie było na to, aby ją ukryć, skoro dałem radę zanieść jej chleb, kielbasę, lemoniadę i trzy koce z pokoju kominowego, skoro potrafiłem to wszystko uczynić, to uczynię jeszcze więcej: nie zauważony przez nikogo udam się teraz do niej i będę uprawiał z nią miłość – powiedział prawie pełnym głosem Kohoutek i wstał na równe nogi. Swoją drogą – myślał dalej – co ona we mnie widzi? To, co wszystkie, pociąga ją ta przekłeta weterynaria – odpowiedział sam sobie. W ciszy i ciemności zaczął się ubierać. Włożył spodnie i sweter, na gołe stopy wdział półbuty, narzucił na ramiona prochowiec i jał jak najostrożniej zmierzać przez długą sień w stronę wyjścia. Gdy przechodził koło pokoju, w którym spała jego żona, przystanął na chwilę, aby się upewnić we własnym bezpieczeństwie. Przyłożył ucho do drzwi i usłyszał jej spokojny oddech. Śpi biedactwo – pomyślał i nagle ogarnęła go kolejna fala wzruszenia. Tym razem było to wzruszenie ściśle związane z kwestią wierności małżeńskiej. Biedactwo, śpi spokojnie, a ja tu takie rzeczy wyprawiam. Przecież tyle lat – szeptał do siebie Kohoutek – przecież tyle lat jestem z tą kobietą, a to, co robię, jest takie niemoralne. I w nagłym porywie Kohoutek otworzył drzwi i tak jak stał w ubraniu wlaźł do jej łóżka i jał ją obsypywać gorączkowymi pocałunkami. Żona Kohoutka, która sypiała twardym i głębokim snem, nie od razu pojęła, co się dzieje. Gdy jednak rozbudziła się na dobre, gdy zapaliła światło i ujrzała leżącego obok siebie Kohoutka w prochowcu i półbutach odezwała się doń w te słowa:

– Człowieku, czyś ty się wściekł? Dlaczego jesteś ubrany? Czy ta jedyna szara komórka, która jeszcze do niedawna telepała się w twoim mózgu, czy twoja szara komórka jedynaczka również zanikła? Dlaczego nie dajesz mi spać? Co za świństwa ci znowu przychodzą do głowy – żona Kohoutka pomyślała, iż być może Kohoutek ubrał się w jakichś perwersyjnych zamiarach, ale Kohoutek w gruncie rzeczy nie usłyszał jej narzekania.

– Kocham cię, kocham cię, kocham cię – powtarzał spazmatycznie i dalej obsypywał ją pocałunkami i gorączkowo zdzierał z niej koszulę nocną. I w końcu żona Kohoutka, która w zasadzie nie przepadała za Kohoutkiem, uległa i pozwoliła zostać mu do rana. Przedtem jednak musiał – tak jak człowiek – przebrać się w piżamę.

## V

My, starzy zbereźnicy, nie będziemy ukrywać: nazajutrz Kohoutek wspinał się na strych starej rzeźni z bardzo niewyraźną miną. Kohoutka w ogóle można by nazwać człowiekiem z niewyraźną miną, ale tym razem jego niewyraźna mina była szczególnie niewyraźna. W końcu miał świadomość, iż tej nocy zdradził swą aktualną kobietę. W dodatku zdawał sobie sprawę, że ona, wiedzona swą diabelską intuicją, wie już o wszystkim. Niósł jej śniadanie: termos z gorącą kawą i kanapkę z szynką, ale, pomimo iż naszykowanie i wyniesienie z domu kawy i kanapki było heroicznym wyczynem, był świadom, że niewiele mu to pomoże. Czekala go ciężka przeprawa. Ale czekała go też niesłychana niespodzianka.

Gdy wszedł na górę, ujrzał swą aktualną kobietę. Ubrana w zieloną sukienkę, której nigdy przedtem nie widział, siedziała na jednym z pudeł, na kolanach trzymała słoje pulpetów wołowych i jadła je na zimno.

– Nie! – krzyknął Kohoutek. – Nie jedz tego!

– Dlaczego? – spytała aktualna kobieta Kohoutka. – Termin przydatności do spożycia jeszcze nie minął. Sprawdziłam na etykiecie.

– Nie jedz! Nie jedz! – wrzeszczał dalej Kohoutek. – Masz, przyniosłem ci prawdziwe śniadanie.

– A więc jeść mi też nie wolno – powiedziała aktualna kobieta Kohoutka, odstawiła słoje i starannie wytarła usta chusteczką higieniczną.

– Gdzie znalazłaś ten słoje? – zapytał Kohoutek.

– W tym oto pudełku – odparła szyderczym tonem rzekomej winowajczyni, wskazując na karton z napisem „Jan Buzek, handel towarów kolonialnych, Cieszyn, ulica Stalmacha”.

– To niemożliwe.

– Proszę nie zarzucać mi kłamstwa, jak wiesz, ja nigdy nie kłamię – lodowatym, zapowiadającym wręcz eksplozję góry lodowej głosem, oznajmiła aktualna kobieta Kohoutka.

– Ile tego zjadłaś?

– Słuchaj – teraz, z kolei, barwa jej głosu miała w sobie odcień rzekomej ugodowości – zjadłam tylko jeden pulpet, ale zapłacę ci za cały słoik. – I z ostentacyjną gorliwością jęła grzebać w portmonetce, która, jakby istotnie naszykowana do regulowania należności, leżała na jednym z kartonów.

Ale Kohoutek zupełnie nie zwracał uwagi na odgrywany przez nią spektakl. To, że zjadła jeden pulpet, to drobiazg – analizował sytuację – oczywiście, szkoda, że otwierała słoje, ale to w końcu da się zatuszować, co najwyższej odium winy spadnie na Omę. Z tego, że zjadła jeden pulpet i naruszyła zawartość słoika, nie ma co robić tragedii. Bezwzględnie korzystnym aspektem sytuacji jest fakt, iż pulpety zostały odnalezione, zaraz podrzucę je tam, gdzie trzeba i gorączkowe poszukiwania ustaną. Ale miejsce okazuje się niepewne! I to jest okoliczność fatalna, a nawet tragiczna. Jak to możliwe, żeby ledwo powłócząca nogami i chodząca o lasce Oma zdołała tu dotrzeć? Jak to możliwe, żeby zdołała wspiąć się po wąskich i stromych niczym drabina schodach? Jak to możliwe, żeby ktoś tak niedołączny, ktoś,



kogo raz do roku trzeba wieźć do kościoła w fotelu na biegunach, zdołał sforsować tak karkołomne podejście? Widocznie wszystko jest możliwe. Skoro jest możliwe, że moja aktualna kobieta ni stąd, ni zowąd przybywa do mnie, po to w dodatku, aby pozostać ze mną na zawsze, możliwe jest także, że chroma staruszka z małpią zręcznością wspina się po schodach, konstatuje z goryczą Kohoutek.

– Być może się to nie zdarzy, ale musisz się z tym liczyć – mówi do swej aktualnej kobiety.

– Z czymże to znowu, mianowicie, muszę się liczyć?

– Może jutro, może pojutrze, może za parę dni pojawi się tu Oma. W domu jest pełno jedzenia i ona z pewnością znów zechce coś ukryć. Oповідаłem ci, że robi to od czasu do czasu.

– Dobrze – aktualna kobieta Kohoutka rzekomo ściśle stosuje się do instrukcji – gdy pojawi się tu Oma, co mam robić?

– Ukryj się.

– A jak mnie zaskoczy?

– Wtedy zachowaj zimną krew. Pamiętaj o jednym. Gdyby cię zaskoczyła, gdyby cię tu ujrzała, nie jest wykluczone, że zada ci wiadome pytanie.

– Jakie wiadome pytanie?

– Zapyta, czy przypadkiem nie jesteś katoliczką i wtedy musisz się zaprzeć i powiedzieć, że jesteś luteranką. To ją uspokoi.

– Przed chwilą ci mówiłam, że nigdy nie kłamie.

Kohoutek w milczeniu spogląda na swoją aktualną kobietę i nagle poraża go prosta niczym abecadło myśl. Kohoutek uświadamia sobie, iż jego aktualna kobieta jest wariatką. Ciarki przebiegają mu po plecach. Przecież żadna normalna kobieta nigdy by tu w takiej sytuacji nie przyjechała, a ona, owszem, przyjechała. Co w niej więc jest takiego, na czym polega jej duchowy defekt, skłaniający ją, zezwalający jej na tego rodzaju koszmarną dla wszystkich, dla niej przecież także – wyprawę?

– Dobrze, poradzę sobie – mówi aktualna kobieta Kohoutka, tym razem tonem nie tylko oznajmiającym zakończenie jednego wątku, ale zapowiadającym przejście do wątku następnego. – Znowu u niej byłeś.

Kohoutek, który wie, iż stawianie nawet najbardziej desperackiego oporu jest w takich sytuacjach daremne, milczy, a po chwili pyta bezradnie, jakby licząc na to, iż właśnie bezradność i przyznanie się do winy stanie się jego atutem.

– Skąd wiesz?

– Przecież widzę, jestem kobietą. – I nagle aktualna kobieta Kohoutka wybucha histerycznym płaczem.

– Byłeś u niej, byłeś u niej i to akurat wtedy, gdy ja przyjechałam, gdy przyjechałam, żeby zostać z tobą na zawsze.

– Tyle razy ci mówiłem, że bardzo tego pragnę, ale że zarazem nie jest to takie proste – istotnie, tę frazę wypowiada Kohoutek z zatrważającą wprawą.

– Ale przecież obiecywałeś, obiecywałeś, że będziemy razem, że razem zamieszkamy w tym domu i będziemy żyć z wynajmowania pokoi wczasowiczom.

– Owszem, obiecywałem – mówi chłodno Kohoutek –ale zarazem zaznaczałem przy tym, że aby było to możliwe, wszyscy domownicy, a w każdym razie zdecydowana ich większość musi przedtem wymrzeć. Były to więc nie tyle obietnice, co niejasne marzenia.

– Nie kochasz mnie – chlipie aktualna kobieta Kohoutka.

– Przecież wiesz, jak bardzo cię Kocham – odpowiada Kohoutek nieco znużonym głosem, gdyż rozmowa przybiera zdecydowanie stereotypowy obrót. – Kocham cię nad życie, ale teraz muszę cię zostawić. Wiesz, że dzisiaj są urodziny Omy i jest masę roboty. – Kohoutek wstaje, całuje swą aktualną kobietę w czubek pochylonej głowy i niezręcznie – mając świadomość, iż w jego geście jest coś z gestu konfiskatora, podnosi słój pulpetów wołowych.

– Wpadnę wieczorem – mówi.

Gdy ostrożnie, by nie upuścić słoja, schodzi po schodach, słyszy nad sobą jakiś szelest. Unosi głowę i widzi wychyloną ku sobie twarz swojej aktualnej kobiety. Jej rysy są zniekształcone tak potworną furją, iż Kohoutek dosłownie kamienieje z przerażenia.

– Być może ja również wpadnę wieczorem. Wpadnę wieczorem złożyć Omie życzenia – syczy aktualna kobieta prawdziwie jaszczurczym sykiem.

## VI

Kohoutek, istotnie, miał zwyczaj roztaczania przed każdą bliżej poznaną kobietą wizji wspólnego życia. Stąd brało się jego powodzenie. Kobiety chętnie słuchały opowieści o wspólnych podróżach, o wspólnych śniadaniach, oraz, rzecz jasna, o wspólnych dzieciach. My, starzy zbereźnicy, dobrze znamy odwieczną i banalną prawdę, iż rzeczą, której pragnie zdecydowana większość kobiet, jest stabilizacja, stabilizacja w najogólniejszym i najściślej filozoficznym znaczeniu tego słowa. Nawet kobiety spragnione przygód łakną przede wszystkim stabilizacji, ponieważ stabilizacja jest fundamentem i niemalże warunkiem wstępnym rzeczywistej przygody. Opowiadając rozmarzonym głosem o wspólnym życiu, Kohoutek ofiarowywał kobietom iluzję stabilizacji. Nawet wiodące ustabilizowane życie, ustabilizowane mężatki chętnie słuchały opowiadań Kohoutka, ponieważ wydawało im się, iż ewentualne wspólne życie z Kohoutkiem byłoby jeszcze bardziej ustabilizowane. Kohoutek – w dodatku – roztaczając przed każdą bliżej poznaną kobietą wizję wspólnego życia, wcale nie kłamał. Nie prowadził żadnej gry erotycznej, nie miał żadnej uwodzicielskiej strategii. Kohoutek był uwodzicielem z bożej łaski. Święcie wierzył w to, co mówi. Naprawdę – w chwili opowieści pragnął spędzić resztę życia ze słuchającą go kobietą. Całkiem realnie wyobrażał sobie odpowiednie szczegóły i epizody. Stąd brała się jego wiarygodność i jego sprawność narracyjna. Kohoutek w swojej prostolinijności zupełnie nie zdawał sobie sprawy z wymienionych przez nas kontekstów psychologicznych. Budził się rano u boku kobiety, z którą wczorajszego wieczora planował życie, mówił do siebie: Boże, ależ ja bzdury wczoraj wygadawałem i uciekał w największym popłochu. W ten wszakże sposób, chcąc nie chcąc, ten erotyczny prostaczek (inaczej Kohoutka nazwać nie sposób) zdobył niemałe doświadczenie seksualne. Tak, nawet my, starzy łózkowi wyjadacze, musimy nie bez cienia zazdrości przyznać, iż Kohoutek poznał niemało kobiet.

Poznał kobiety mądre i poznał kobiety głupie. Poznał kobiety wszeteczne i poznał kobiety cnotliwe. Poznał kobiety, które chichotały w łóżku jak szalone. Poznał kobiety, które w decydujących chwilach wręcz konały ze śmiechu. Poznał pełne dumy kobiety, które, zirytowane swą nieuniknioną w takich sytuacjach bezbronnością, bywały agresywne. Poznał kobiety, które przez cały czas milczały jak grób, i poznał kobiety, których gadatliwość rosła wprost proporcjonalnie do intensywności cielesnych doznań. Poznał kobiety, które mówiły tylko o seksie, oraz takie, które, owszem, godziły się na wszystko, ale jakąkolwiek próbę rozmowy o seksie traktowały jako nieprzekraczalne tabu.

Poznał kobietę, która lubiła gaworzyć w łóżku jak niemowlę. Cio, cio, niu, niu – mówiła do Kohoutka pewna ognista trzydziestolatka. Cio lobiś? Bu, bu, łączka, dać, dać, pipi niu, niu – powtarzała w koło, a zdezorientowany Kohoutek dalej robił swoje, choć odnosił absurdalne wrażenie, iż po raz pierwszy robi to wewnątrz olbrzymiego niemowlęcego wózka, w który przeistoczyła się garsoniera brunetki.

Kohoutek poznał kobietę, którą na randki przywoził mąż. Poznał pewną maturzystkę, która, gdy upojny wieczór dobiegł końca i znużony Kohoutek gotów był odprowadzić ją na postój taksówek, oświadczyła zniechęcająco, iż musi jeszcze posiedzieć parę godzin i napić się wódki, ponieważ, gdy wróci zbyt wcześnie i zbyt trzeźwa do domu, rodzice od razu zorientują się, iż coś jest nie w porządku. Kohoutek poznał kobiety, które szły z nim, ponieważ były od lat nieszczęśliwa zakochane, w związku z czym od lat chodziły z każdym.

Poznał pewną drugorzędną piosenkarkę i romans z nią był jednym z dłuższych romansów w jego życiu. Kohoutek, obudziwszy się nazajutrz, nie uciekł w popłochu, lecz pozostał i to pozostał na dobrych parę tygodni. Intensywność i zadziwiająca długotrwałość romansu z drugorzędną piosenkarką wynikała z fascynacji Kohoutka muzyką. Kohoutek oczywiście kompletnie nie znał się na muzyce i jeśli idzie o słuch muzyczny, głuchy był jak pień. Muzyka była wszakże istotnym składnikiem jego świadomości czy też raczej nieświadomości erotycznej. Można powiedzieć, iż traktował muzykę jako dziedzinę, która kobietom przydaje niezwykłego czaru. Można powiedzieć, iż traktował muzykę jako swoisty i niezwykle perwersyjny element kobiecej garderoby. Można powiedzieć po prostu: Kohoutek wołał piosenkarki od piosenkarzy, pianistki od pianistów, perkusistki od perkusistów. Istniały dziedziny życia, w których zdaniem Kohoutka podział ról pomiędzy kobietami a mężczyznami winien przebiegać z porażającą wręcz symetrią. Taką dziedzina była muzyka. Muzykę, według Kohoutka, winni komponować wyłącznie mężczyźni, wykonywać zaś winny ją wyłącznie kobiety. Nie powinno w ogóle być śpiewaków i piosenkarzy, chórów męskich czy nawet mieszanych, wszelki śpiew, zdaniem Kohoutka, winien wydobywać się wyłącznie z kobiecych krtani. Muzyka winna rodzić się w ciałach mężczyzn, odtwarzać ją zaś winny ciała kobiet. Również wszelkie instrumenty muzyczne zostały w gruncie rzeczy stworzone dla kobiet. Fortepiany, pianina, gitary, skrzypce, trąbki, puzony, kontrabasy i wszelkie inne narzędzia muzyczne były w swej istocie przeznaczone dla płci żeńskiej. Gdy Kohoutek słuchał muzyki i równocześnie widział unoszącą się nad klawiaturą pianistkę w prostej czarnej sukience, ogarniał go szal równowagi życiowej. Mężczyzna (bo przecież musiał to być mężczyzna), który po raz pierwszy wręczył kobiecie instrument muzyczny, był zdaniem Kohoutka, jednym z głównych praojców harmonii świata.

Kim była i jak wyglądała pierwsza instrumentalistka w dziejach ludzkości? Na czym zagrała? Niestety, scenę tę na ogół wyobraża sobie Kohoutek w płaski, komiksowy sposób: widzi odzianą w niewyprawione skóry filigranową blondynkę, której kolega jaskiniowiec podaje dla zabawy róg. A ona z nieoczekiwaną desperacją i wprawą przytyka ów róg do swych paleolitycznych warg i dmie weń.

Niekiedy wszakże przychodzi Kohoutkowi do głowy wersja szlachetniejsza. Przychodzi mu do głowy, iż pierwsza instrumentalistka była wyznania mojżeszowego. Scena wręczania biblijnego rogu kobiecie staje się wtedy nie zapisanym w *Piśmie* apokryficznym epizodem *Exodusu*.

Drugorzędna piosenkarka nie była, rzecz jasna, pierwszą instrumentalistką ludzkości. Była zaledwie jej potomkinią i to w nader bocznej i bardzo zamazanej linii. Była jej praprapraprawnuczka w tysięcznym pokoleniu.

Toteż romans z nią, mimo iż, jak na obyczaje Kohoutka, wyjątkowy, nie mógł trwać wiecznie. Trwał miesiąc. Potem w jego życiu przez długi czas nic się nie działo. To znaczy Kohoutek oddychał, jadł, pił, odbywał nie kończące się rozmowy z doktorem Oyermahem, pracował, szczepił zwierzęta, obcinał psom przerośnięte pazury, leczył kaszlące cielęta i chore na kolkę konie; tysiące razy jeździł do Krakowa i z powrotem, lecz jeśli idzie o kontakty z kobietami, w jego życiu nie działo się nic godnego uwagi. Jakies nic nie znaczące rozmowy, przypadkowe spotkania, zdawkowe zbliżenia.

Aż do chwili, gdy w pewien upalny czerwcowy wieczór na przystanku koło dworca głównego w Krakowie Kohoutek wsiadł do prawie pustego o tej porze autobusu pośpiesznego linii A. Wewnątrz słychać było ogłuszający kobiecy śpiew. Swawolny kierowca uruchomił na pełny regulator radiodbiornik i głos Mireille Mathieu zdawał się wznagać panującą wewnątrz duchotę. Kohoutek usiadł po lewej stronie. Minutę lub dwie spoglądał przez okno na obracające się z wolna w pył, a teraz zanurzone w żółtawych masach upalnego powietrza mury i ściany miasta. Potem odwrócił głowę i ujrzał siedzącą przed sobą kobietę. Nie było w niej nic szczególnego. Przytknął na chwilę oczy, autobus przejeżdżał przez skrzyżowanie Lubicz i Rakowickiej, Mireille Mathieu śpiewała wniebogłosy, Kohoutek otworzył oczy i bezmyślnie gapił się na boski zarys czaszki siedzącej przed nim przygodnej pasażerki. Uniosła rękę i poprawiła spięte w luźny kok włosy. Kohoutek poczuł zapach kremu oliwkowego i wraz z tym zapachem spłynęło nań wielkie olśnienie. Olśnienie olśnieniem – pomyślał przytomnie – ale trzeba sprawdzić, jak ona wygląda. Wstał, przeszedł na drugą stronę autobusu i usiadł o dwa miejsca przed nią, tyle że – powtórzmy – po przeciwnej stronie. Przez chwilę znów patrzył w okno, autobus objeżdżał Rondo Mogiłskie, potem Kohoutek niby przypadkiem, jakby zaciekawiony budową nowego hotelu odwrócił głowę, spojrzął... i istotnie – to była Ona. Czytała wprawdzie książkę, za czym Kohoutek nie przepadał, ale niewątpliwie to była ona. To ona była pierwszą instrumentalistką ludzkości. To ona idąc przez pustynię z ludem Izraela zadeła w szofar. To jej w restauracji „Pod Jeleniem” pradziadek Kohoutka, mistrz masarski, Emilian Kohoutek wręczył dla zabawy porzucony przez pijanego muzykanta puzon. To ona, ubrana w bordową sukienkę z białym kołnierzykiem, chwiejnym krokiem weszła na podium, a ośmielone jej przykładem poszły w ślad za nią Helenka Morcinkówna (trąbka), Krysia Kotula (akordeon), Marysia Jasiczek (klarnet) oraz spowita wyłącznie w istebniańskie koronki Nathalie Delong (bęben). Kiedy Kohoutek ujrzał ją po raz pierwszy, wiedział, że widywał ją już tysiącokrotnie. To ona była pierwszą czeską striptizerką, którą podglądał przez okno kawiarni „Centrum”. To ona siedziała kiedyś samotnie w „Warszawiankach”, piła wiśniówkę za wiśniówką, z jej oczu zaś płynęły łzy. To do niej tyle razy telefonował, kiedy zaś podnosiła słuchawkę – milczał. To ona chodziła z Kohoutkiem na naukę confirmacyjną. To ona w latach sześćdziesiątych opalała się w pobliżu mostu Dębnickiego. To ona w bananowej spódnicy szła kiedyś Karmelicką. To ona jechała teraz autobusem pośpiesznym linii A.

Kohoutek, wiedziony nie tyle doświadczeniem (wielokrotne związki z kobietami niczego go nie nauczyły), co przyrodzonym mu instynktem, kolejny raz zmienił miejsce. Tym razem usiadł tuż przed nią i nie próbując nawet pozorować przypadkowości swych zamiarów odwrócił się i zapytał:

– Najmocniej panią przepraszam, co pani czyta?

## VII

Podczas pierwszej modlitwy Kohoutek wymknął się z domu i zaniósł swojej aktualnej kobiecie marynowanego śledzia. Gdy przemawiał Pastor, pomknął do niej z talerzykiem wędlin. Gdy wznoszono pierwszy toast, Kohoutek biegł przez ogród z butelką szampana. Gdy śpiewano pierwszą pieśń, wspinał się na strych starej rzeźni z miseczką sosu tatarskiego. Gdy doktor Oyermah jął wygłaszać pierwsze z szeregu przemówienie, Kohoutek na palcach skradał się przez werandę, niosąc swej aktualnej kobiecie odrobinę sałatki jarzynowej. Gdy zaniósł jej spory kawałek tortu orzechowego i, zadowolony z siebie, wracał do biesiadników, ujrzał przed domem cień postaci. Matka Kohoutka czekała na jego powrót.

– Pycha i alkohol – pomyślał Kohoutek – zgubiła mnie pycha i alkohol. Istotnie Kohoutek, który zwykle nie garną się do gorzałki, tym razem nie omijał żadnej kolejki, a nawet cichcem raz i drugi nalał sobie w kuchni sporą miarkę i wypił duszkiem. Alkohol uskrzydlał go tego wieczoru, aktualna kobieta łaskawie przyjmowała przynieszone przezeń resztki smakołyków, nie prawiała mu żadnych złościwości. Leżała spowita w trzy wełniane koce, popijała szampana wprost z butelki, paliła i czytała książkę.

Kohoutek poczynił sobie coraz śmieiej, był pewien, iż w ogólnym rozgardiaszu nikt niczego nie zauważa, planował nawet, że na koniec, gdy zostanie podany gulasz, zaniesie swej aktualnej kobiecie cały talerz gorącego gulaszu. Kohoutek, rzecz można, był tego dnia prawie szczęśliwym człowiekiem.

Teraz wszakże, gdy ujrzał stojącą przed domem – niczym widmo ostatecznej sprawiedliwości – postać matki, pojął, iż wszystko runęło. Skoro matka Kohoutka czekała nań przed domem, oznaczało to, iż dobrze i być może od dawna wie, dokąd Kohoutek chodzi i co robi.

– Dobrze i od dawna wiem, dokąd chodzisz i co robisz – powiedziała matka Kohoutka, gdy ten sztywno stawiając nagle zdrewniałe nogi, wreszcie zbliżył się do niej. (Intuicja matki Kohoutka była typową, matczyną intuicją, daleko jej było do absolutnej, wręcz kosmicznej intuicji aktualnej kobiety Kohoutka. Matka Kohoutka wyczuwała jego wybryki, tamta wiedziała wszystko).

– Jak ci nie wstyd takie rzeczy wyprawiać i to w dodatku w dzień urodzin Omy. Nie słuchałeś tego, co mówił Pastor, boś musiał lecieć wiadomo dokąd – kontynuowała matka – a przydałoby ci się, żebyś posłuchał. – Kohoutek w gruncie rzeczy poczuł ulgę, klasyczną ulgę wreszcie schwytanego uciekiniera.

– Przecież słuchałem – odparł słabym głosem, cały czas słuchałem tego, co mówi Pastor.

– Tak – powiedziała matka Kohoutka – w takim razie przypomnij mi, o czym mówił Pastor.

– Pastor mówił – odpowiedź Kohoutka była odpowiedzią lęklivego ucznia stojącego przed surowym nauczycielem – Pastor mówił, że każdy przedmiot posiada swój zapach i swoją woń.

– Tak i co dalej – nacierała matka.

– Dalej Pastor mówił, że są przedmioty, które wchłaniają w siebie zapach, jak na przykład szata człowieka. Szata człowieka wchłania w siebie zapach człowieka i zatrzymuje go.

– Dalej! – głos matki brzmiał niczym szczęknięcie broni plutonu egzekucyjnego, szykującego się do ostatecznej salwy.

Kohoutek milczał przez chwilę, ponieważ rzecz jasna nie wiedział, co było dalej, słyszał tylko i to jednym uchem przemówienie Pastora, owijał wtedy w serwetkę kilka plasterków szynki i kielbasy, a potem pobiegł wiadomo dokąd. Nie wiedział, co było dalej, zaryzykował jednak.

– Dalej Pastor mówił, iż winniśmy wchłaniać w siebie słowo boże i zatrzymywać je w sobie niczym szata zatrzymująca...

– Milczeć! – ryknęła matka. Nie będziesz mi tu bluźnić, bluźnierco jeden! Dalej Pastor mówił o duszy – teraz mówiła ciszej, ale ze swoiście jadowitą rzeczowością. – Pastor mówił, że więcej niż szata wchłania w siebie wszelki zapach dusza. Nie słuchałeś, boś musiał na ten strych przeklęty lecieć. Pastor mówił, że dusza jest chciwa i pije jak gąbka, i wchłania w siebie wszelkie nałogi ciała, i że prawdą są słowa: w zdrowym ciele – zdrowa dusza. A jaka jest twoja dusza? – ryknęła znowu. – Jakie jest twoje ciało? Dlaczego je plugawisz?

Na chwilę zacisnęła wargi, a potem znów zaczęła mówić, tym razem pełnym dramatycznej poufności półgłosem.

– Nie żal ci żony? Nie żal ci dziecka? Ojca ci nie żal? Mnie ci nie żal? Omy ci nie żal? Dlaczego to robisz? Dlaczego zabijasz nas wszystkich? Dlaczego siebie zabijasz? Dom chcesz zniszczyć?

Kohoutek stał z opuszczoną głową, uszły zeń wszystkie siły, wszystkie myśli wyparowały mu z głowy, zamarło w nim życie, świat mu zubożał. Było mu wszystko jedno, było mu najzupełniej obojętne, co się stanie z nim, co się stanie z jego aktualną kobietą. Otchłanie hańby i upodlenia, w których miał się pogrążyć, były tak niezgłębione, iż można było wobec nich zachować jedynie obojętność przedmiotu, który stracił ostatni punkt oparcia i runął w przepaść.

Matka znów przez chwilę milczała, a potem mruknęła zaskakująco spokojnym głosem.

– Czuć cię, cały śmierdzisz plugastwem. Tak – dodała z namysłem – szata wchłania w siebie zapach człowieka.

Potem w rozmowie nastąpiła kolejna, tym razem bardzo długa przerwa. Ostatnia minuta ciszy przed ostatecznym wyrokiem.

– Dobrze – powiedziała matka. – Dzisiaj są urodziny Omy i nie będziemy urządzać zenujących widowisk. Następnym razem cię zabiję. A teraz oddaj wszystkie papierosy.

– Nie mam, wypaliłem właśnie ostatniego – odparł błyskawicznie Kohoutek.

– Paweł – powiedziała matka (ona jedna i to bardzo rzadko używała jego imienia, reszta świata mówiła doń: Kohoutku). – Paweł, nie zaczynaj wszystkiego od początku – znów podniosła głos – natychmiast oddaj papierosy.

– Ukryłem je.



– Przynieś natychmiast, nie upokarzaj mnie i nie zmuszaj, żebym sama po nie poszła.

– Zaraz – powiedział Kohoutek.

Odwrócił się i pobiegł z powrotem. Chyżo – bo przecież cały wypełniony był żywiołem ulgi lżejszej od powietrza – wspiał się po schodach. Aktualna kobieta niemalże z pretensją spojrzała na jego puste ręce, przywykła, iż tego wieczoru Kohoutek jest dostawcą wszelkich dóbr doczesnych.

– Daj mi papierosy – powiedział zdyszany Kohoutek.

– Setki razy ci mówiłam, żebyś nie wkraczał na terytoria moich osobistych nawyków. Nudny jesteś, jesteś po prostu nudny z tym swoim wiecznym zabranianiem mi palenia.

– Nie o to chodzi, pał, ile chcesz, ale daj mi papierosy.

– Kohoutku – powiedziała z mężką w głosie jego aktualna kobieta. – Kohoutku, czyś ty ocipiał? Jak mogę palić, nie mając papierosów?

– Teraz, teraz – jęczał spazmatycznie Kohoutek – jest mi potrzebna paczka papierosów.

– A z jakiegoż to powodu?

– Doktorowi Oyermahowi skończył się tytoń i robi się coraz agresywniejszy.

– Kohoutku, idź do knajpy i kup albo idź do sąsiada i pożycz. Ja ci papierosów nie dam w żadnym wypadku – powiedziała aktualna kobieta Kohoutka, ostentacyjnie wzięła leżącą przed nim paczkę mentolowych salemów i schowała do torebki.

I wtedy Kohoutek, któremu w panice zaczęło się wydawać, iż słyszy zbliżające się kroki matki, po raz pierwszy w życiu dopuścił się przemocy fizycznej na kobiecie. Wyrwał po krótkiej szamotaninie z jej rąk torebkę, otworzył ją, wyjął paczkę papierosów, na szczęście była prawie pełna, wyjął trzy i położył na kartonie, potem dołożył jeszcze dwa.

– Będę u ciebie bardzo późnym wieczorem – powiedział i ruszył ku schodom.

Oniemiała przez chwilę aktualna kobieta Kohoutka zaczęła nagle wrzeszczeć na całe gardło:

– Bydlak! Na kobietę rękę podnosi! Bydlak! Kto z bydłem obcuje, bydłem się staje! Rzeźnik, rzeżimieszek! Weterynarz! Astronom krowiej rzycki! Zawsze ci ręce końskim gównem śmierdziały! Oddaj mi papierosy, świnio pasie! Zaraz się przebiorę i przyjdę tam, przyjdę na urodziny Omy i zapytam twojego mistrza Oyermaha, czy nie byłby łaskaw poczęstować mnie moim papierosem! Zaraz przyjdę, tylko się przebiorę!

Ale Kohoutek właściwie nie słyszał tego krzyku, który wypełniał całą dolinę. Co dziwne, matka też zdawała się niczego nie słyszeć. Bez słowa wzięła z rąk Kohoutka paczkę papierosów i razem weszli do domu.

Doktor Oyermah z kieliszkiem w ręku stał za stołem i nikogo nie dopuszczając do głosu, perorował nieustannie. Gdy ujrzał wchodzących do jadalni Kohoutka i jego matkę, natychmiast zwrócił się do nich. Oyermah był bowiem tego rodzaju gawędziarzem, który we wszystkim, na czym spoczęło jego oko, dostrzegał temat godny kwiecistej perory.

– A oto drogi wnuk szanownej jubilatki oraz czcigodna matka szanownego wnuka – powiedział Oyermah, po czym, co niesłychane, zamilkł.

Nastała cisza jak makiem zasiał, jedynie zza okna dochodził niewyraźny i nieczytelny krzyk aktualnej kobiety Kohoutka, nikt nań jednak nie zwracał uwagi, wszyscy wpatrywali się w milczącego Oyeramaha. Chwile narracyjnych zapaści zdarzały się temu człowiekowi może raz na dziesięciolecie a może nie zdarzały się nigdy. Oyermah mówił bez przerwy. Mówił gdy stał, gdy siedział, gdy jadł i gdy pił. Mówił w czasie pracy i w czasie wielogodzinnych biesiad. Mówił, gdy szedł ulicą, bo przecież co krok spotykał kogoś, kogo znał, a znał tu wszystkich. Teraz wszakże zamilkł. Siwa czupryna opadła mu na czoło i ponownie otworzył usta, i wszystkim się zdawało, że chwila ciszy może nie była zapaścią, a jedynie przygotowaniem, nabraniem oddechu przed niesłychanymi dalszymi ciągami. Oyermah istotnie uniósł kielich i raz jeszcze donośniejszym tym razem głosem rzecz zaczął.

– A oto szanowny wnuk czcigodnej jubilatki oraz droga matka szanownego wnuka... – powiedział i znowu zamilkł.

Cisza była tym razem zupełna, bo i aktualna kobieta Kohoutka zamilkła. Przebiera się, pomyślał z dziwnym spokojem Kohoutek. Przebiera się i zaraz, jak ją znam, tu przyjdzie. Ale i on, Kohoutek, pomimo rozproszonej uwagi i zupełnie skołatanych nerwów, przyglądał się w osłupieniu swemu mistrzowi.

Doktor Oyermah, wysoki, barczysty, dobrze pamiętający austriackie czasy starzec stał niemo. Człowiek, który zwiedził cały świat (z wyjątkiem Filipin) stał niemo. Doktor nauk weterynaryjnych Franciszek Józef Oyermah, leczący niezliczone pokolenia protestanckich zwierząt domowych, nauczyciel Kohoutka, on, który po raz pierwszy pokazał Kohoutkowi, jak mierzyć zwierzętom temperaturę, jak badać ich tętno, jak piłować koniowi zęby, jak strugać kopyta i jak umieszczać sondę w gardzieli wzdętej krowy, jak używać trójgrańca, jak opatrywać złamaną kobyłą nogę, człowiek, któremu Kohoutek ufał bezgranicznie, stary Oyermah, pijący codziennie, choć nigdy do końca nie pijany, on, z którego nieprawą wnuczką, Olą Krzywoniówną Kohoutek zaznawał pierwszych wtajemniczeń, człowiek, który przed ponad trzydziestu laty wręczył Kohoutkowi mityczną księgę jego dzieciństwa, niestrudzony gawędziarz, którego historii, po raz tysięczny powtarzanych, można było słuchać zawsze z napiętą uwagą, znawca zwierzęcej anatomii i dusz ludzkich – zamilkł. A jeśli stary Oyermah zamilkł, to znaczyło, że osłabł, że nagle w ciągu kilku chwil prawdziwie się zestarzał, że poczuł brzemię czasu, że, być może, po raz pierwszy w życiu pomyślał o śmierci niechybnej. Wszyscy siedzący za stołem mniej lub bardziej wyraźnie zdawali sobie sprawę, że milczenie Oyeramaha oznacza koniec epoki, a może nawet koniec świata.

W ciszy zupełnej znów rozległ się jakiś daleki głos, może aktualna kobieta Kohoutka znów rozpoczęła swój lament, może rzeka nagle przyśpieszyła swój bieg, może wiatr poruszył konarami rosnących za starą rzeźnią lip, buków i dębów. Oyermah bez słowa wychylił kielich i usiadł.

Jak skończą się urodziny – pomyślał Kohoutek – odprowadzę starego do domu i powiem mu o wszystkim. Może on coś doradzi. Jak nie on, to nikt.

Dalej było cicho, dalej nikt się nie odzywał. Ktoś napełnił sobie kieliszek, ktoś westchnął głęboko. Zaskrzypiało czyjeś krzesło, wiatr coraz gwałtowniej przetaczał się nad dachem.

- Ktoś jest w ogrodzie – powiedziała nagle Oma i w ciszy zupełnej jej starczy, liche głos zabrzmiał głośno i złowieszczo.
- Ktoś chodzi po ogrodzie – powtórzyła Oma.

## VIII

Kohoutek odnosi nieodparte wrażenie, iż zawód weterynarza wybrano dlań na długo przed jego narodzinami. Odkąd pamięta (a niekiedy Kohoutkowi wydaje się, że pamięta pomalowane szarą olejną farbą ściany izby porodowej, w której wyjęto go z brzucha jego matki), zawsze mówiło się o nim, iż gdy dorośnie, będzie weterynarzem.

– Tak, mój mały Kohoutku, gdy dorośniesz, zostaniesz adeptem sztuk weterynaryjnych – mówił do Kohoutka jego ojciec.

– To dobre i szlachetne zajęcie, będziesz ratował zwierzęta i będziesz pomagał ludziom. Będziesz dobrze zarabiał. Ale pamiętaj – ojciec Kohoutka unosił ostrzegawczo palec w górę – że czeka cię nadludzki wysiłek w nieludzkich warunkach.

Była to jedna z najczęściej wypowiedzianych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie fraz w rodzinie Kohoutków. Być może pradziadek, mistrz masarski Emilian Kohoutek, nie nadużywał tej frazy, ale znał ją z całą pewnością. Natomiast jego syn, Pan Naczelnik, dziadek Kohoutka, frazę tę nie tylko znał, ale i wyciągał z niej wszelkie realne konsekwencje.

Dziadek Kohoutka tak często zmuszał ojca Kohoutka do nadludzkiego wysiłku w nieludzkich warunkach, iż z czasem wyrobił w nim przekonanie, wedle którego jakikolwiek inny wysiłek niż nadludzki w nieludzkich warunkach nie ma sensu. W związku z tym wszelkie prace, które wszczynał ojciec Kohoutka, zawierały w sobie element graniczącej z utratą człowieczeństwa potworności.

Gdy stary Kohoutek rozpoczynał, na przykład, malowanie domu, wiadomo było, iż nie spocznie, póki nie skończy. Wkładał na głowę papierową czapkę i tak ukoronowany wstępował na drabinę malarską. Rozpoczynała się wielka harówka. Rozpoczynał się wielki obrządek nadludzkiego wysiłku w nieludzkich warunkach. Stary Kohoutek niczym Mojżesz z góry Synaj przez szereg dni nie schodził z drabiny malarskiej. Malował nieustannie, jego ruchy były nieludzko szybkie i sprawne. Posiłki spożywał, nie opuszczając wysokości, na które wstąpił. Czynił to nadzwyczaj niechętnie, z wielkimi oporami, ulegając wielokrotnym namowom i błaganiom matki. W końcu odkładał berło pędzla, zdejmował koronę, i godził się na przyjście służebnicy. Ona szła ostrożnie, drobnymi, pełnymi czci krokami. Niosła przed sobą tacę. Gdy docierała w bezpośrednie pobliże pokrytego pancierzem farby emulsyjnej majestatu, jej ramiona unosiły się w górę. – Zjedz coś, zjedz coś, Dudusiu – szeptała. Ojciec Kohoutka jadł pośpiesznie, samym niedbałym sposobem jedzenia, dając do zrozumienia, iż jest przeciwko jedzeniu. Jadł też zawsze w absolutnym milczeniu, nigdy nie odezwał się do matki, nie mówiąc o obdarzeniu jej jakimkolwiek kulinarnym komplemtem czy słowem podziękia. Jego jedzenie na szczycie drabiny malarskiej było bowiem także wymierzone przeciwko matce, która szykując jadło, przynosząc je i nieskończonymi błaganiami nakłaniając go do jedzenia, ucłowieczała jego nadludzki wysiłek w nieludzkich warunkach, *ergo* czyniła go wysiłkiem częściowym, pozornym a nawet nonsensownym. Mały Kohoutek z

przerażeniem patrzył, jak ciało jego ojca zarasta z wolna wapienną łuską. Z całej duszy pragnął być taki jak jego ojciec, pragnął nadludzko pracować w nieludzkich warunkach, ale przeczuwał, że nie sprostą. Z całego serca pragnął być weterynarzem, ale przeczuwał, że nigdy nie będzie takim weterynarzem jak doktor Oyermah. Wiedział, że nigdy nie zdoła przeistoczyć się w prawdziwego z krwi i kości weterynarza.

Oyermah często odwiedzał Kohoutków. Była to epoka, kiedy stajnię i oborę wypełniał ciemny niczym butwiejące drewno zapach żywych zwierząt. Dotknięty wszelkimi narowami koń Jonathan rżał w kącie i mlaskał wargami. Słychać było głębokie oddechy dwóch ulubionych krów Omy, Mary i Elizabeth. Wieprz Douglas chrząkał znacząco. Indyk Beltsville zrywał się do lotu, kot Humphrey ze zrećnością kaskadera przechadzał się po pokrytym papą dachu, nad wszystkim zaś unosił się nieustanny tumult ptasiego pospólstwa, niezliczonych stad kur, gęsi i kaczek.

„Kury, gęsi i zielone kaczki” – Oyermah nucił pierwsze takty – jak się wydawało Kohoutkowi – Wielkiego Hymnu Weterynarzy, po czym zasiadał wraz z dziadkiem Kohoutka przy kieliszku spirytusu zmieszanego z gorącym karmelem. Do małego Kohoutka doktor zwracał się *per* mój szanowny następcu.

– Niedługo nadejdzie pora rozpoczęcia studiów – mawiał – mój szanowny następcu, gromadzę już odpowiednie materiały – powtarzał raz po raz i, jak się miało okazać, nie była to czcza gadanina.

Któregoś lutowego dnia, gdy oślepiające płomienie blisko czterdziestostopniowego mrozu zdawały się obracać powietrze w popiół, Kohoutek ujrzał przedzierającą się przez zaspy leżące na podwórzu (które już nie było dziedzińcem wielkiej rzeźni, ale jeszcze nie było ogrodem) charakterystyczną sylwetkę w ogromnym baranym kozuchu.

– A zatem doczekaliśmy się, Panie Naczelniku – Oyermah stanął w drzwiach, postawił swą ogromną teczkę, z którą się nigdy nie rozstawał, na ławie pod oknem, potem zbliżył się do kuchennego pieca i jał nad blachą rozgrzewać zgrabiałe dłonie.

– Tak jest, doczekaliśmy się, Panie Naczelniku – Oyermah mówił do siedzącego za stołem dziadka Kohoutka. – Towarzysz Chruszczow obnażył podłe uczynki towarzysza Josifa Wissarionowicza, ale krótka będzie jego radość, bo niedługo i on sam, towarzysz Chruszczow, zostanie obnażony. – Oyermah z zadowoleniem przypatrywał się, jak Oma sypie cukier do rytualnego rondelka i stawia go na piecu.

– Komuna, Panie Naczelniku, nie przetrwa najbliższych czterdziestu lat góra i ani roku więcej, raczej mniej. Paru towarzyszy pierwszych sekretarzy jeszcze przeżyjemy, ale nie więcej i nie dlatego, że my pomrzemy, Panie Naczelniku, ale dlatego, że ich więcej nie będzie. – Dziadek Kohoutka z fachową skrupulatnością odłupywał brunatną lakową główkę z ćwiartki spirytusu. – Może ich będzie jeszcze pięciu, może tylko czterech. Wszystkich ich przeżyjemy i dożyjemy tych słodkich czasów, kiedy z Polski zdjeta zostanie czapka czekisty. Dożyjemy tego, Panie Naczelniku – ogrzawszy dłonie doktor Oyermah wydobyl ze swej przepastnej torby owiniętą w szary papier paczkę.

– Dożyjemy czasów tak upojnej wolności, że o mało nas, Panie Naczelniku, na stare lata jasna krew nie zaleje – Oyermah zdjął kozuch i niedbale

rzucił go na ławę. – Bo trzeba nam wiedzieć, że czapka czekisty okrywa zarówno zalety jak i przywary naszego dzielnego narodu. I gdy za niecałe czterdzieści lat czapka czekisty zostanie z nas zdjęta – a zapewniam pana, Panie Naczelniku, że sfrunie ona z nas z lekkością kurzego piórka – gdy czapa zostanie zdjęta, nie tylko nasze wielkie zalety, ale i nasze kolosalne przywary ujrzą światło dzienne. Nie ma co ukrywać, niełatwe czasy nas czekają, niełatwe, ale obaj dobrze wiemy, że łatwych czasów nie ma w ogóle. Bywają co najwyżej miłe chwile, jak ta szara godzina, oby trwała wiecznie – zakończył rzecz Oyermah, zwrócił się do Kohoutka i wręczył mu owiniętą w szary papier paczkę.

– A to dla ciebie, Kohoutku juniorze, mój szanowny następco. Pora rozpocząć studia choćby od pisma obrazkowego. Na szczęście krowa wydająca na świat potomstwo wolna jest od nacisków politycznych, więc rzecz jest dalej pożyteczna i nie podległa dezaktualizacji. Choć i to nieprawda – doktor Oyermah wygodnie usadowił się za stołem. – Choć i to nieprawda, że krowa, to boże stworzenie, wolna jest od nacisków politycznych. Bo przecież wiadomo, daj, człowieku, bolszewikowi krowę a zamorzy ją ze szczętem – powiedział Oyermah i posmutniał nagle, i osowiały patrzył, jak Oma z niewielkiego blaszanego czajnika nalewa do kieliszków gorący i oleisty trunek.

Kohoutek wydobył z szarego papieru dwa opasłe i masywne tomy. Pachniały tak jak doktor – -sierścią zwierząt domowych i alkoholem. Kohoutek nie znał pojęcia „mityczna księga dzieciństwa” (prawdę powiedziawszy, z terminem tym miała zapoznać go dopiero z górą trzydzieści lat później jego aktualna kobieta), ale niewątpliwie przed chwilą miała miejsce ta właśnie klasyczna i rytualna scena. Kohoutek otrzymał z rąk doktora Oyermaha mityczną księgę swego dzieciństwa, powoli obracał jej strony i co chwila trafiał na niewiarygodne, zapierające dech ilustracje. Barwne ryciny przedstawiały wszystkie istniejące rodzaje zwierząt domowych, ich przekroje, ich wnętrzności, ich szkielety. Na szczegółowych, z pieczołowitym choć nieco topornym realizmem wykonanych wizerunkach można było śledzić anatomię zwierzęcych kończyn, głów i kadłubów. Układy mięśni, żył i ścięgien. Kohoutek nie mógł oderwać wzroku od prawdziwie przerażających wizerunków chorych zwierząt, jak urzeczony wpatrywał się w ogromne niczym głowy kapusty żrebiące przepukliny, krowie wymiona obrośnięte niebieskawym kozuchem czyraczycy, ochwacone i gnijące kopyta, przerośnięte racice. Dalej szły barwne i wyraziste portrety zwierząt o porażonych kończynach, drobiu dotkniętego pomorem, zwierząt chorych na dychawicę, tasiemczyce, bąblowice i glistnice, włośnice i chorobę motyliczną. Dalej wyraziste detale i zbliżenia: owrzodzone języki, pokrzywione kręgosłupy, obrzękłe gardziele, krwawe niczym zachodzące słońce liszaje, ropnie żółte jak nadmorski piasek, bagniste zgorzele, odleżyny i wysięki. Kohoutek oniemiały obracał stronę po stronie i patrzył przerażony i zafascynowany jednocześnie, jak wyglądają zwierzęta chorujące na cholere, różycę czy tężec. Zniekształcone przez promienice krowie łby, dotknięte świerzbem końskie karki, ogromne niczym piłki tenisowe larwy gźów wplątane w sierść i skórę. Nie znał, rzecz jasna, żadnych terminów, nie rozumiał podpisów pod rycinami, obracał stronę po stronie i raz po raz trafiał na apokaliptyczne wizje niepojętych zwierzęcych męczarni, na nieruchome, choć wijące się w

przedśmiertnych konwulsjach obrazy zwierząt zatrutych solą, arsenem, ołowiem, fosforem, miedzią, cynkiem czy saletrą.

Na początku drugiego tomu nieznany malarz przedstawił rozległy sielski pejzaż: nad zielonymi wzgórzami zachodziło słońce, z kominów dalekich chat wiejskich dym szedł prosto w górę, na pierwszym zaś planie gromada mężczyzn uwijała się wokół monstrualnie rozdętych zwłok padłego konia. Ktoś wydobywał ostatnie łopaty ziemi z rozległego i głębokiego dołu, ktoś inny wielkim i ostrym niczym szablą nożem nacinał skórę martwego zwierzęcia, człowiek w kaszkiecie i wysokich wojskowych butach sypał w głąb tak uczynionych ran jakąś białą substancję, idący w ślad za tamtymi kolejny znawca rzeczy obficie polewał zwierzęce zwłoki żółtawym płynem. Z głębi obrazu ktoś nadbiegł niosąc płonąca pochodnię...

– No jak, Kohoutku juniorze – zapytał zza stołu doktor Oyermah – jakie wrażenie sprawia na tobie pierwsze spojrzenie w głąb zwierzęcych trzewi? Trudny widok, nieprawdaż? – Oyermah wstał i zbliżył się do Kohoutka.

– Widzę, że studiujesz idealną wersję postępowania z padłymi zwierzętami. Tak istotnie należy postępować, ponacinać, zasypać wapnem, polać naftą, spalić i głęboko zakopać. Ale to, co tu widzisz, jest idealną wersją. W rzeczywistości, w tamtejszej rzeczywistości – powiedział z naciskiem Oyermah – biedny konik zostałby dawno poćwiartowany i zżarty prawie na surowo. A niedługo potem – dodał doktor, obracając z wprawą karty księgi – a niedługo potem szlachetne oblicza zgromadzonych tu kołchoźników wyglądałyby ot tak – i Oyermah pokazał Kohoutkowi monstrualną sekwencję wizerunków ludzi zarażonych różnymi odzwierzęcymi chorobami. – Temu dolega *bieszństwo*, ten zaraził się *jaszczurom* – palec Oyermaha wędrował od jednej spotworniałej twarzy do drugiej – ten złapał *roże*, a ten *sap*. Ale powtarzam raz jeszcze, pomimo iż księgi te obfitują w całą masę odległych od rzeczywistości, od tamtejszej rzeczywistości epizodów, mogą być pożyteczne. Spójrz na przykład tutaj, Kohoutku juniorze. – Oyermah znów odwrócił parę kart i przed oczyma Kohoutka przemknęło kilka biało-czarnych rysunków, przedstawiających najwymyślniejsze instrumenty weterynaryjne: noże, sondy, akuszerskie żegadła, dłuta i kleszcze, piły, haki i koliście zakrzywione igły – spójrz tutaj, Kohoutku – Oyermah tym razem znalazł stronicę zapełnioną niezliczonymi wizerunkami rozdziawionych końskich pysków. – Spójrz, Kohoutku, mój szanowny następcu – w ten sposób określasz wiek konia: wedle stanu jego uzębienia. O widzisz, ten konik to miesięczny źrebaczek, osesek z dwoma pierwszymi ząbkami. Ale ten, na przykład – palec Oyermaha znów sunął wzdłuż zapierających dech rycin – ten ma już wszystkie zęby i co najmniej pół roku już spędził na tym padole. A tu starzec o starczych, zamkniętych i spłaszczonych zębach. Dwudziestoparoletni starzec szykujący się z wolna do ostatniego galopu ku niebiańskim stajniom. O wieku, o późnym wieku zwierząt nie ma zresztą co mówić, bo zwierzęta domowe są w tej dobrej sytuacji, że prawie nigdy nie umierają ze starości. My, weterynarze, skracamy ich starcze męki. Poprawiamy samego Pana Boga, korygujemy jego kiepski wynalazek, jakim jest późna niedołożna starość. Tak, Kohoutku juniorze, studiuj te uczone księgi, bo niedługo przyjdzie czas na pokaz praktyczny. Jeśli dobrze pamiętam, Elizabeth niebawem będzie wydawać na świat potomstwo i ty, mój szanowny następcu, po raz pierwszy staniesz u mego boku.

## IX

– Kohoutku – zapytał doktor Oyermah w trzydzieści parę lat później, gdy po zakończonych urodzinach Omy oraz po urządzonej w ogrodzie obławie na aktualną kobietę Kohoutka szli obaj drogą wiodącą przez środek wietrznej listopadowej nocy. – Kohoutku, kogoż ty ukrywasz w ogrodzie, jakaż to niesłychana piękność postanowiła cię odwiedzić? Kto to jest? Kiedy i na jak długo przyjechała? Gdy ujrzałem jej twarz za oknem, zaniemówiłem. Pomyślałem, że może to duch mojej świętej pamięci małżonki Józefiny przyszedł po mnie. Ale gdzie tam! Moja świętej pamięci ukochana Józefina była tak niezwykle szpetną kobietą, że choćby na tamym świecie istniały prawdziwie zaświatowe, a więc nieskończone możliwości w zakresie chirurgii plastycznej, nigdy, przenigdy nie zdołałaby tak wypięknąć i tak odmłodzić.

– A jednak podeszła do samego okna, choć wydawało mi się, że słyszę jej daleki krzyk czy płacz – powiedział zamyślony Kohoutek.

– Tak jest, wydawało ci się, podeszła do samego okna i niczym figlarne dziecko rozplaszczyła nos na szybie. Było w tym dziecięcym geście dorosłej, młodej i pięknej kobiety tyle niesłychanego czaru, że odjęło mi mowę. Ja, stary Oyermah, nie byłem w stanie wygłosić toastu...

– Ale jakim cudem zauważyła ją Oma? – przerwał mu Kohoutek.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł nieco zde gustowany Oyermah, ponieważ szykował się do wygłoszenia dłuższej tyrady poświęconej tematowi zdziwienia nad samym sobą i poza tym w ogóle organicznie nie znosił, gdy mu przerywano. – Nie mam pojęcia. Sądzę, że ją nie tyle zauważyła, co raczej przeczuła. Psim starczym swędem ją przeczuła i wyczuła. Ludzie, których zmysły powoli gasną, którzy głuchną, ślepną, tracą węch i słuch, miewają nieraz osobliwe przebłyski swych doznań. Przedśmiertne, rzekłbym, wzloty definitywnie gasnącego ciała. Wzloty dalekosiężne i jakby nadprzyrodzone, słyszą lub widzą przez ułamek sekundy to, czego nigdy nie usłyszy ani nie ujrzy zwyczajny śmiertelnik. Może szanowna jubilatka ni stąd, ni zowąd usłyszała trzask gałązki pod stopą twojej pięknej znajomej, może usłyszała szelest jej sukienki, może ujrzała jakiś cień dla nikogo poza nią niewidoczny.

– Zauważyłeś, mam nadzieję – kontynuował po chwili Oyermah – że robiłem, co mogłem, aby ich powstrzymać. Bo ona, gdy patrzyła przez szybę, patrzyła tylko na ciebie, Kohoutku, i patrzyła tak pałającym, tak jadowitym i zarazem tak pełnym rozpaczyspojrzeniem, że nie miałem cienia wątpliwości: ktoś bardzo osobliwymi więziami z tobą związany spogląda na ciebie. Któż to na Boga jest, Kohoutku? – Wbrew pozorom doktor Oyermah nie oczekiwał jeszcze odpowiedzi.

– Wiedziałem od razu, wiedziałem, że nie jest to przypadek, że dama za szybą nie pobłądziła, nie zgubiła drogi, że nie jest to ktoś, kto wiedziony bezinteresowną ciekawością postanowił zajrzeć, co też się dzieje za oknami iluminowanego domostwa. Toteż gdy za stołem nastąpiło wielkie poruszenie, robiłem wszystko, by uniknąć ewentualnych poszukiwań. Wszystkim sza-



nowym domownikom i gościom niezwykle sprzyjała czyjaś domniemana obecność w ogrodzie. Zastygli – zauważyłeś, Kohoutku – boś i ty zastygł, wszyscyście zastygli w śmiertelnym przerażeniu, kiedy ja, Oyermah, zamilkłem. Myśleliście, że może umieram, słabnę, że nadchodzi koniec, że przeszło mnie nagle kruche ostrze niedołężnej starości, a ja z zachwytu, z młodzieńczego zachwytu zamilkłem, a także z lęku o ciebie, Kohoutku, z lęku o was.

Istotnie, gdy Oma kolejny raz powtórzyła, iż ktoś jest w ogrodzie, wszyscy z nadmierną skwapliwością rzucili się do okien.

– Kto! Gdzie! Czuj duch! Zdrada! Zdrada! Łapaj! Trzymaj! Do broni! Huzia na Józia! – krzyczeli, jakby chcieli wszczętym rumorem, okrzykami, odsuwaniem krzeseł wypełnić tak wiele znaczące nagle zamilknięcie doktora. I nic nie pomogło, że Oyermah nagle odżył, że tubalnym głosem nawoływał, by kontynuować biesiadę, że hamował zapały, że próbował ponownie wznosić toasty, nic nie pomogło.

Mężczyźni narzucili na ramiona palta, zapalono latarki i świece, szukano podręcznego oręża, lasek, parasoli, narciarskich kijków, ojciec Kohoutka wydobywał z dna szafy pistolet gazowy i stary Oyermah, widząc iż nie da rady powstrzymać pospolitego ruszenia, postanowił objąć zwodnicze, wiodące byle jaką armię na manowce przywództwo.

– Dobrze, panowie oficerowie – Oyermah wstał i narzucił na ramiona ten sam, co prawda, pociemniały, tu i ówdzie pokryty łatami, ale ten sam, wiekuisty ogromny barani kozuch. – Dobrze, panowie oficerowie, ruszemy na plac boju, ale zgodnie z regułami wojennej strategii. Pan, Panie Naczelniku, pozostanie na tarasie i będzie osłaniał tyły. Pan, Panie Inżynierze – tak Oyermah zwracał się do ojca Kohoutka, który był z zawodu mierniczym – ruszy wraz ze swoim browningiem w stronę starej rzeźni, my zaś, wielbny Pastor oraz ja, będziemy powoli obchodzić dom dookoła. Ty natomiast, Kohoutku, idź dołem – Oyermah bardzo stanowczym ruchem pchnął Kohoutka w wyznaczonym kierunku. – Gotowi? Gotowi! – ryknął potwornym, słyszalnym na całej ziemi cieszyńskiej basem Oyermah. – Zabić! Zabić! – krzyknął ojciec Kohoutka. – Nie zabijać, żywcem brać! – odpowiedział doktor i obława powoli pogrążyła się w ciemności.

Kohoutek z walącym jak młot sercem szedł szlakiem wskazanym przez doktora, dobrze znał swojego mistrza, wyczuwał w jego kabotyńskich działaniach rodzaj świadomej strategii i przemyślanej reżyserii, i istotnie ledwo uczynił kilka kroków, ujrzał ją. Aktualna kobieta Kohoutka stała pod pniem starej jabłoni i najwidoczniej trzęsła się ze strachu i zimna.

– Co ty robisz, kobieto, co ty robisz! – Kohoutek podbiegł do niej. – Błagam cię, poczekaj jeszcze trochę, a wszystko się wyjaśni. Wiesz, jak cię Kocham. – Kohoutek schylił się, objął boskie uda swojej aktualnej kobiety i uniósł ją w górę. – Kocham cię nad życie, trzymaj się gałęzi, Kocham cię, Kocham, podciągnij się jeszcze trochę, jutro się wszystko wyjaśni – szeptał zdyszany Kohoutek – będziemy zawsze razem i nigdy się nie rozstaniemy, wejdź trochę wyżej, tam jest całkiem wygodne rozgałęzienie, Kocham cię – powiedział Kohoutek – bardzo dobrze, wypocznij trochę, a jak się wszystko skończy, wracaj do siebie. Kocham cię – spojrzał w górę i istotnie było to chyba dobre schronienie, bo w gęstwinie konarów starej, nigdy nie przycinanej jabłoni niczego nie było widać. Aktualna kobieta Kohoutka nie odzy-

wała się ani słowem. Kohoutek spojrział jeszcze raz i nie widząc nawet cienia, nawet zarysu postaci odniósł przedziwne wrażenie, że korona starej jabłoni pochłonęła jego aktualną kobietę, że przepadła ona raz na zawsze, że w pierw po gałęziach, potem zaś po powietrznych szczeblach wspięła się na wysokości, z których nie ma powrotu.

– Ho, ho, ho, helo, helo – słychać było z góry ostrzegawcze nawoływania Oyermaha. – Ho, ho, helo, helo, helo – odpowiedział Kohoutek. „Helo, Helo, Helenko” – śpiewny głos Oyermaha był coraz bliżej. „Helo, Helo, Helenko” – odpowiedział już nie nuąc a śpiewając Kohoutek, z następnym krokiem i następnym oddechem dołączył do ich duetu wyrobiony baryton Pastora. „Helo, Helo, Helenko, jako ci się pasie, Helo, Helenko, Helo”. Z mroku wyłonił się ojciec Kohoutka z gazowym pistoletem w garści i choć to po nim Kohoutek oddziedziczył muzyczne nieudolności również dołączył do śpiewających. „Helo, Helo, Helenko” – cała czwórka śpiewała starą pasterską pieśń i kroczyła przez ogród, który był kiedyś dziedzińcem wielkiej rzeźni. Na tarasie dołączył do nich Pan Naczelnik, potem kobiety wyszły przed dom i wszyscy śpiewali stare cieszyńskie piosenki. Śpiewali „Hej swoboda, swobodniczka”, „Ojcowski dom”, „Płyniesz, Olzo, po dolinie”, śpiewali „Kolinie, Kolinie”, śpiewali „Pognała wołki” i „Tam, gdzie Czantorja”. A kiedy zaczęli śpiewać „Wczoraj była niedzieliczka”, Oyermah, który czuł się tu jak u siebie, nie przerywając śpiewu zniknął w domu i po chwili pojawił się na tarasie z tacą, na której stały kieliszki i butelka gorzałki, i śpiewając „Wczoraj była niedzieliczka, dzisiaj smutny dzień, rozboleła mnie głowiczka na cały tydzień” jął rozlewać gorzałkę i nie przerywając śpiewu jął przepijać do wszystkich śpiewających, i wszyscy śpiewając wychylali kielich za kielichem, a potem – dalej śpiewając całą masę pożegnalnych pieśni – zaczęli się żegnać, ściskać i całować. „Do widzenia, do widzenia, do miłego zobaczenia” śpiewali i raz jeszcze żegnali się, ściskali i całowali, bo przecież było w tym domu tak, jakby wraz z końcem urodzin Omy kończył się jeden rok, a nazajutrz miał rozpocząć nowy, jakby kończyły się wielkie święta i nadchodziły wielkie święta, jakby niepojęte pierwiastki końca i początku teraz właśnie łączyły się ze sobą.

## X

Szli środkiem listopadowej nocy. Szli szerokim traktem wiodącym przez środek ziemi cieszyńskiej. Szli środkiem świata. Mijali most, dworzec kolejowy, pocztę, której naczelnikiem był dziadek Kohoutka, mijali Dom Zdrojowy, kościół, parafię, w której kiedyś mieszkali Pastorostwo, hotel „Piaś”, dom towarowy, skręcili potem w stronę Partecznika, gdzie mieszkał Oyermah. Kohoutek przez cały czas opowiadał. Opowiadał o wszystkim. Opowiadał o swoich przygodach z kobietami, o studiach weterynaryjnych, o pisaniu doktoratu na temat *Amorphus Globus*. Roztkliwiony i pijany Kohoutek (doktor Oyermah raz po raz wyjmował zza pazuchy metalową pierśiówkę wypełnioną śliwowicą paschalną) wspominał czasy najgłębszego dzieciństwa.

– Czy pan wie, mistrzu – mówił Kohoutek – że ja w wiele, wiele lat później, a prawdę powiedziawszy całkiem niedawno zorientowałem się, że mityczną księgą mego dzieciństwa, którą mi pan swego czasu ofiarował, był dwutomowy – *Wietierinarnyj encikłopediczeskij słowar* – wydany w 1950 roku w Moskwie? Tak – powtórzył Kohoutek – stalinowski słownik weterynaryjny wydany przez „*Gosudarstwiennoje Izdatielstwo Sielskochoziajstwiennoj Litieratury*” był wielką księgą mego dzieciństwa. Inna sprawa, że niedawno stwierdziłem, a raczej upewniłem się w rzeczy zgoła niepojętej, otóż w tym dwutomowym, wydanym trzy lata przed śmiercią generalissima dziele nie ma ani jednej jego fotografii, ani jednej podobizny! Czyżby Josif Wissarionowicz Stalin nie był największym weterynarzem wszechczasów? Czyżby nie był ojcem weterynarii? Mistrzu, jak to było, jak to wyglądało? – pytał Kohoutek, ale Oyermah nie odpowiadał.

Może był znużony, może wiedział, że zadawane przez Kohoutka pytania mają wyłącznie pijacko-retoryczny charakter, może rozumiał a raczej (my, starzy wielbicielę mądrości Oyermaha, ujmijmy rzecz bardziej definitywnie) stary Oyermah z pewnością rozumiał, iż nadeszła chwila, w której Kohoutek chce i musi powiedzieć wszystko. Wszystko w głęboko filozoficznym i na wskroś ogólnozyciowym znaczeniu tego słowa.

– A może w naukach weterynaryjnych odwilż nastąpiła wcześniej – bełkotał Kohoutek – kto wie, kto wie. Ale swoją drogą, pan, mistrzu, musiał głęboko i świadomie przeorać się przez to dzieło. Pan przecież do dziś używa rosyjskich terminów. Nigdy nie słyszałem, żeby pan mówił „przepuklina”, zawsze pan mówi *gryża*, zamiast „oparzenie” mówi pan *ożog*, „wzdęcie” to w pana języku *wzdutie*, „wścieklizna” – *bieszestwo*, nigdy pan nie powie zwyczajnie: „ochwat”, ale zawsze kunsztownie akcentując: *wospalenije kopyt*, zamiast „pomór” mówi pan *czuma*, zamiast „pryszczycza” – *jaszczur*, „różycza” – *roża*, „nosacizna” – *sap*, „tężec” – *stolbiak*, „szelestnica” – *szumiaszczyj karbunkuł*, „wąglik” – *sibirskaja jazowa*, „świerzb” – *czesotka*, „kołowacizna” – *wiertjaczka*... A jak jest po rosyjsku *amorphus globus* – zapytał Kohoutek, który, zdawać się mogło, wpadł w rodzaj leksykalnego transu – jak jest po rosyjsku *amorphus globus*? – powtórzył. – Nie wie

nikt – sam sobie odparł z pijacką rezygnacją. – Nawet w masywnej jak wszystkie stalinowskie budowle encyklopedii nie ma tej informacji...

Pamięta pan, mistrzu, moje pierwsze praktyczne wtajemniczenie w sekrety naszej sztuki, pamięta pan, bo przecież pan wszystko pamięta. Obudzono mnie późnym wieczorem, choć wydawało mi się, że jest tak jak teraz, środek nocy, odziano mnie dziwnie ciepło, choć był to sierpień, na ramiona narzucono mi starą pelerynę, choć nie było deszczu, pomyślałem, że widocznie jest to jakiś rodzaj rytualnego stroju, że tak jak panna młoda musi mieć welon i białą suknię, tak weterynarz przyjmujący narodziny zwierzęcia musi być ubrany ciepło i mieć na sobie pelerynę. Ale pan nie miał peleryny ani swetra, był pan nagi, to znaczy na gołe ciało miał pan narzucony sięgający ziemi, ale odsłaniający tors i ramiona, fartuch z grubej jak opona gumy, leżał pan na ziemi i wyglądał niczym mitologiczny Tytan. Prawą rękę miał pan po pachę zanurzoną w wnętrznościach Elizabeth i wyglądało to tak, jakby pan sam przed chwilą wydobył się z krowiego brzucha i jakby jedynie w końcowej fazie powracania na świat ręka panu ugrzęzła w jakimś zakamarku bydłczej anatomii. W brunatnym świetle gołej żarówki, w mglistej aurze zwierzęcych odchodów i ludzkiego potu szamotał się pan, wzywał pan Pana Boga, kłął pan tak straszliwie, że prawie niczego nie rozumiałem i zaczęło mi się wydawać, że nigdy nie uwolni pan uwięźniętej ręki, że na zawsze pozostanie pan zrośnięty z Elizabeth, że w prawdziwie mitologicznej wersji przeistoczy się pan w pół zwierzę, pół człowieka. Żał mi się wtedy Pana zrobiło, bo pomyślałem, że będzie pan musiał całe swoje życie podporządkować życiu Elizabeth, że będzie pan musiał chodzić z nią na pastwisko, nocować w oborze, że tu będzie pan przyjmował gości, witał się z nimi – przepraszając za nietakt – lewą ręką. Bardzo mi pana żal było i już już miałem wybuchnąć gorzkim płaczem, gdy pan, mistrzu, z niesłychaną łatwością uwolnił swoją rękę, a wraz z pańską ręką z wnętrza Elizabeth wyłonił się obły, mokry, cały porośnięty sierścią kształt. Pomyślałem wtedy, że zaraz z tego dziwnego tworu niczym z ogromnego jaja wyskoczy chyży i żwawy byczek o srebrnych różkach i złotych kopytkach, dziwiłem się, dlaczego nie opuszcza pana furia, kiedy ujrzałem w pana dłoni długi i ostry jak szabla nóż, pomyślałem, że chce pan naciąć skórę, aby pomóc wydostać się na świat noworodkowi, ale pan ku memu przerażeniu wziął straszliwy rozmach i z przekleństwem na ustach rozplątał na pół to coś, co leżało u pańskich stóp i ujrzałem wtedy niepojętą płataninę żył, ścięgien i karłowatych kości. Oślepie oko przetaczało się wewnątrz bezkształtnej anatomii. Wątroba, serce i żołądek stanowiły niepodzielną jedność, nie było nawet wiele krwi, całość parowała jedynie, jakby wydając z siebie pierwszy i ostatni oddech.

Oma wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na zewnątrz. Była upalna sierpniowa noc, spojrzałem w górę, bo pomyślałem, że ujrzę przelatujący nad dachem sputnik, ale tam rozpościerała się tylko biała pustynia gwiazd i planet. Kulisty, porośnięty wilgotną sierścią kształt rósł teraz we mnie, podnosił się, z wolna podchodził mi do gardła.

Kohoutek zamilkł. Zatrzymali się na chwilę. Oyermah podał mi pierśiówkę. Kohoutek wypił spory łyk, i jak to nieraz bywa po kolejnej miarce gorzałki, jął mówić lżejszym, spokojniejszym głosem.

– Tak, mistrzu, rzecz można, iż pod złą gwiazdą, pod bezkształtną planetą *amorphus globus* rozpoczęła się moja kariera adepta sztuk weterynaryjnych. Potem oczywiście przywykłem do potworów, obaj nieraz widywaliśmy wynicowane mózgi, prosięta bez dolnej szczęki, zrosnięte z sobą syjamskie płody, cyklopie źrebięta, rozdęte wodogłowiem czaszki. Widywaliśmy niejedno, widywaliśmy niejedno, jakby pan, mistrzu powiedział: *urodstwo płoda*. Ale tamten obraz rozplątanych wnętrzości *amorphus globus* nigdy mnie nie opuścił. Tym bardziej, że w mitycznej księdze mego dzieciństwa, w drugim tomie na stronie 477 widnieje jego wierny i bardzo plastyczny, jak wszystkie ryciny w tej księdze, wizerunek. „Bezpostaciowiec kulisty. *Amorphus Globus (wniesznij wid) Akuszerskij Muziej Kazansko-wo Wietierinarijskogo Instituta*” – zacytował Kohoutek z pamięci.

Stali pod ośrodkiem sportowym, do którego od lat zjeżdżały pokolenia coraz młodszych, coraz sprawniejszych i osiągających coraz lepsze wyniki dyskobolek, sprinterek i siatkarek.

Kohoutek łapczywie gapił się w ciemne okna, za którymi spało kolejne zgrupowanie wieloboistek albo płotkarek i nagle z pijacką łatwością zmienił temat. Od wątku swych zawodowych inicjacji przeszedł do wątku swych udręk cielesnych.

– Kobiety – powiedział – moje aktualne kobiety. Nie zaprę się tego. W restauracji zawsze bardziej interesowała mnie kelnerka niż danie, które przynosiła. Nie na szklankę piwa wstępowałem do baru, ale by na barmankę pogapić się przez kwadrans. Chodziłem do kościoła, modliłem się i śpiewałem, ale przecież kątem oka zerkalem nieustannie na profil siedzącej obok schludnej luteranki. Wsiadałem do pociągu i tak długo zaglądałem do kolejnych przedziałów, aż trud mój bywał nagradzany. Jechałem, gdy mnie wzywano, do chorego zwierzęcia, jednak nie o nim myślałem, mierząc mu gorączkę, ale o gospodyni lub córce całkiem już dorosłej.

Wszakże czy to wszystko znaczy, że tylko w ich obecności – Kohoutek wskazał ręką budynek pełen uspionych sportsmenek – że tylko w ich bliskości przeistaczam się z bezpostaciowca kulistego w twór sensowny? Czy tylko wtedy moja pozbawiona wyrazu twarz nabiera wyrazu, moje płuca napełniają się powietrzem? Czy tylko wtedy krew zaczyna we mnie krążyć, moja bełkotliwa mowa staje się potoczysta, moje istnienie nabiera kształtu? Nie wiem, mistrzu, nie wiem. Nie wiem nawet, czy naprawdę jestem Pawłem Kohoutkiem, weterynarzem, jedno wiem niezbicie: jestem opętany przez wiecznie nienasycone demony dotyku.

Znów powoli ruszyli przed siebie. Oyermah dalej milczał, dalej pozwalał mówić Kohoutkowi.

– Przez całe chyba życie – Kohoutek jakby stopniowo trzeźwiał, a może popadał w coraz głębszą pijacką rozpacz – przez całe chyba życie robiłem wszystko, aby znaleźć się w jak największej ich bliskości. Zawsze dzielnie i niestrudzenie biegłem tropem ich perfum, oślepiały mnie ich udane lub nieudane fryzury. Wyciągałem ręce, by dotknąć, zanurzałem dłonie w wielkich rzekach ukojenia, jakie płynęły wzdłuż ich skóry. Patrzyłem na kobietę idącą wzdłuż ulicy Szewskiej, miała na sobie łososiową spódnicę i białą bluzkę, szła szybkim, zdecydowanym krokiem, ruch jej nóg, jej piersi, jej włosów sprawiał, że zaczynałem się krztusić, dławilem się światem, dławilem

się, a więc istniałem, zaczynałem istnieć, krztusiłem się pierwszymi łykami powietrza, ona szła w kierunku rynku, zawracałem, ruszałem jej śladem (tropem jej perfum), gapilem się na jej łydki, gapilem się na jej spięty z niedostępną zwykłym śmiertelnikom nonszalancją kok, jej ręka unosiła się w górę, jej dłoń pachnąca perfumami Evasion poprawiała klamrę we włosach, być może, ona, kobieta w łososiowej spódnicy, być może jej pachnąca perfumami Evasion ręka знаła powody, wiedziała, dlaczego się krztuszę, nią, światem, dlaczego tak upaja mnie żółtawe powietrze tego miasta. Być może ona wiedziała, która z odpowiedzi jest poprawna. Ja nie.

Kohoutek zamilkł a po chwili powiedział z nieoczekiwaną desperacją w głosie:

– Dobrze, godzę się na to: jestem zwykłym rozpustnikiem, najzwyklejszym w świecie cudzołożnikiem, Casanovą spod ciemnej gwiazdy, donżuanem od siedmiu boleści. Dobrze, niech będzie: tylko to mnie interesuje, jedno mam w głowie, godzę się, choć jest to bardzo uproszczona i wulgarna prawda, bo przecież nie jest tak, że redukuje samego siebie do własnych genitaliów, że sprowadzam moje aktualne kobiety do ich obszarów erogennych, przeciwnie, wtedy właśnie otwiera się przede mną nieskończoność, wtedy Bóg jest blisko, przecież w *Ewangelii Mateusza* Pan Jezus powiada: „gdy dwoje się zejdzie, jestem między nimi”...

W tym momencie Oyermah chrząknął i najwyraźniej było to chrząknięcie oznaczające sprzeciw, ale Kohoutek zdawał się nie słyszeć.

– Tak, wtedy – mówił dalej – nieskończoność jest w zasięgu zmysłów, tak myślę, ale niech będzie: godzę się na trywialną opinię. Jestem wszetecznikiem. Jestem najzwyklejszym w świecie erotomanem. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego nim jestem? Co mną powoduje? Jaki demon mnie prowadzi? Dlaczego mam nieznośnie sentymentalny zwyczaj opowiadania swym aktualnym kobietom o ziemi cieszyńskiej? Dlaczego każdej nowo poznanej kobiecie obiecuję wspólne życie? Dlaczego, choć wiem że kłamię, wyobrażam sobie, że mówię prawdę, i tę rzekomą prawdę wyobrażam sobie tak intensywnie, że w końcu myślę, że to naprawdę prawda? – Oyermah dalej milczał, Kohoutek zaś dalej mówił.

– Próbowałem, rzecz jasna, próbowałem zrozumieć przyczyny, próbowałem uzgodnić jakieś reguły gry pomiędzy mną a moimi skłonnościami. Ale dałem sobie spokój, ponieważ działo się ze mną to, co zawsze – pasowała do mnie każda teoria.

Być może dzielnie i niestrudzenie biegnę ich tropem, ponieważ w każdej kobiecie szukam matki. Być może, jestem ukrytym homoseksualistą. Być może, moje podboje mają mi rekompensować moje niespełnienia. Być może, na przykład, mają rekompensować mi fakt, iż jestem raczej weterynarzem teoretykiem niż weterynarzem z krwi i kości. Być może, wszystko wynika z faktu, że nie jeżdżę samochodem, nie prowadzę motorówki, nie używam komputera i jedynym bardziej skomplikowanym urządzeniem na którym się znam, jest kobieta. Być może, jestem – mam nadzieję, że nie przekręcę tego słowa – neurotykiem odczuwającym neurotyczną potrzebę miłości. Być może, w głębi swych trzewi czy też w głębi duszy, nienawidzę kobiet i dlatego pozeram je tak łakomie. Ona – Kohoutek wskazał ręką w kierunku swego domu – moja aktualna kobieta, której twarz widział pan za oknem, powiada, że prawdziwym powodem jest to, że nie piszę, nie jestem

pisarzem. Moja aktualna kobieta twierdzi, że wszystkie kobiety, z którymi byłem, zastępowały mi moje nie napisane powieści. Ale to brednia – Kohoutek z dezaprobatą pokręcił głową – to brednia. Mnie nawet czytanie książek nudzi, nie mówiąc o pisaniu. Czytanie książek nudzi mnie i męczy, ponieważ ja, mistrzu, bardzo wolno ruszam oczami.

## XI

Skręcili w lewo i weszli w dolinę Partecznika. Nie było tu żadnych lamp ani świateł. Wzdłuż drogi płynął potok i w zupełnych ciemnościach słysząc było bełkot jego wód raptownie wezbranych po niedawnych deszczach. Do starego drewnianego domu, w którym mieszkał Oyermah, było już niedaleko i Kohoutek, jakby ocknąwszy się, jął wreszcie pośpiesznie opowiadać o tym, o czym przede wszystkim chciał opowiedzieć.

Jał opowiadać o swej aktualnej kobiecie, o pierwszym spotkaniu w autobusie pośpiesznym linii A, o tym, że wysiadł z nią na jej przystanku i odprowadził aż pod bramę wieżowca, w którym mieszkała, o tym, że stali pod tą bramą może godzinę, może dwie, aż w końcu w pobliże podjechała jakby specjalnie po nich wysłana przez anioła czy też raczej, jak się miało okazać, przez demona ich wzajemnej skłonności taksówka. Kohoutek jest absolutnie pewien, iż był to piekielny, z piekła rodem, z samego piekła wysłany wehikuł. Piekielna była jego barwa i marka – żółta wołga tej generacji, którą jeździli partyjni dygnitarze w latach siedemdziesiątych. Przecież od dawna nie ma takich samochodów... Ale wtedy ani ona, ani on nie zdawali sobie sprawy, że jest w tej sytuacji coś niepokojącego. Wsiadli do żółtej wołgi, wrócili do miasta i poszli na kolację do „Pollera”, i potem jeszcze raz jechali z powrotem pośpiesznym autobusem linii A, i był to w dodatku ten sam autobus z tym samym kierowcą, którym jechali po raz pierwszy, co, zdaniem Kohoutka, również może zostać uznane za kolejny dowód istnienia spisku złych mocy.

Kohoutek stojąc na schodach wiodących do domu doktora Oyermaha opowiadał o następnych spotkaniach, opowiadał o nieoczekiwaniu rychłych kłótniach, skarżył się, że pomiędzy nim a jego aktualną kobietą stoi olbrzymia góra książek, z których ona przeczytała wszystkie, on zaś tylko dwie, trzy i to właściwie na jej polecenie. Mówił, że gdy jej dotyka, zupełnie zetraca się we własnych dłoniach, ale zastrzegał się natychmiast, iż nie jest to zwykła zmysłowa fascynacja. Opowiadał o zdumiewających miłosnych szamotaninach, w których ona, zdawać by się mogło, zupełnie omdlewa w jego ramionach, po kilku zaś minutach, gdy wszystko wydaje się być na dobrej, a nawet jak najlepszej drodze, jakby budzi się, odzyskuje przytomność, po czym zaczyna stawiać opór tak zaciekły, iż zdeorientowany Kohoutek traci wszystkie swe siły, zapały i umiejętności.

– W miarę tych coraz dzikszych zapasów ogarnia mnie coraz większy gniew – mówił Kohoutek – i zaczynam się zachowywać jak nieporadny szesnastolatek albo gorzej jeszcze.

W końcu Kohoutek właściwie rezygnuje i kiedy podejmuje bez wiary i nadziei ostatnią próbę, ona nieoczekiwanie znów traci przytomność, tonie w jego ramionach, ulega ogarniającej ją nieogarnionej rozkoszy, Kohoutek odzyskuje siły, zapały i umiejętności i wszystko znów jest na dobrej, a nawet jak najlepszej drodze, po czym ona po chwili kolejny raz budzi się i zaczyna bronić jak lwica, i tak na okrągło przez siedemnaście tygodni – skarżył się Kohoutek. Ale dodawał zaraz, że jest mu z nią dobrze, że chce z nią



być, że jest mu z nią tak dobrze, że chyba ją kocha, choć raczej to wykluczone, bo on, Kohoutek, w gruncie rzeczy kocha tylko swoją żonę i nie wierzy, że można kochać dwie kobiety równocześnie, to są typowo książkowe wymysły.

– Okazało się, że ona nie ma nic wspólnego z muzyką – mówił Kohoutek – nawet chyba nigdy nie słyszałem, żeby coś nuciła, ale to nie ma znaczenia, ona i tak prowadzi Wielki Orszak Instrumentalistek, a w każdym razie kroczy na czele wszystkich perkusistek, wszystkich pańienek bijących w bębny. Jak mówi psalmista: „Wprzód szli śpiewacy, za nimi grający na instrumentach, a pośrodku pańienki bijąc w bębny”.

– Albo też – jak mówi Eklezjasta – sporządziłeś sobie Kohoutku śpiewaków i śpiewaczki, i inne rozkosze synów ludzkich...

Ale Kohoutek zdawał się nie słyszeć wibrującej w głosie Oyermaha ironii. Dalej opowiadał o dziesiątkach pretekstów, jakie wymyślał, by móc do niej jeździć, przyznawał, iż jak zawsze obiecywał jej wszystko, wspólne życie, opowiadał niestworzone rzeczy, w które, gdy opowiadał, wierzył.

– Ale nigdy nie wierzyłem, że ona zdobędzie się na tak desperacki krok – mówił Kohoutek – gdy ją ujrzałem idącą przez ogród z plecakiem i walizką, pomyślałem, że widzę widmo. – I dalej opowiadał, gdzie ją ukrył, jak zaniósł jej trzy wełniane koce, jak nosił jej jedzenie i picie, opowiadał o rozmowie z matką, która tak straszliwie komplikuje jego tajemne wyprawy na strych starej rzeźni, opowiadał wszystko z detalami aż do wydarzeń sprzed godziny, kiedy to pomógł jej ukryć się w koronie starej jabłoni.

– Co robić, mistrzu, co robić? – pytał bezradnie. – Dlaczego ona przyjechała? Przecież żadna normalna kobieta – powtarzał z posępnym uporem – przecież żadna normalna kobieta by nie przyjechała, a ona przyjechała, więc może ona jest nienormalna?

Ramiona Oyermaha zaczynały z wolna dygotać w przypływie chichotu, który za chwilę miał przeistoczyć się w nieokiełzany, tubalny rechot.

– Co robić, jestem za słaby, żeby ją przegnać, a zresztą nawet gdybym próbował ją przegnać, to ona i tak jest za mocna, żeby dać się przegnać! Jak długo ona zostanie? Hotel, wynajmowanie pokoi, wszystko rozważyłem i wszystko odpada!

Śmiech Oyermaha słyszeć już było wszędzie.

– O, rozpustny Kohoutku – mówił przez śmiech Oyermah, stał wyżej od Kohoutka, opierał się o poręcz drewnianego ganku okalającego dom, zapalona przed chwilą przezeń lampa dokładnie oświetlała całą jego postać i wyglądało to tak, jakby Oyermah – aktor stał na scenie i przemawiał do ukrytej w mroku publiczności.

– O, rozpustny Kohoutku, co też się tobie najlepszego przydarzyło! Spójrzcie nań wszyscy – ryknął na cały głos Oyermah i uniósł rękę, i skierował wiszącą na długim sznurze lampę z blaszanym abażurem wprost na zdumionego i pobladłego Kohoutka.

– Unieście głowy, ocknijcie się – Oyermah nawet w takiej sytuacji nie był w stanie zrezygnować z wygłoszenia jeszcze jednej tego wieczoru tyrady. Tym razem była to Wielka Przestroga dla Rozpustników.

– Unieście głowy, ocknijcie się, obudźcie – wzywał Oyermah i istotnie, w dwu sąsiednich domach zapaliły się światła w oknach – obudźcie się i wyobraźcie sobie, że nękające was koszmary stają się jawą. Wyobraźcie so-

bie, że wasze aktualne kochanki kołaczą do waszych mieszkań, przedstawiają się waszym żonom, witają się z waszymi dziećmi! Wyobraźcie sobie, że wasze przelotne przygody, chwilowe fascynacje i urlopowe romanse prowadzą się do was! Unieście wasze wylężnione głowy i wy, wytrawni, i wy, początkujący łowcy kobiet. Unieście głowy i wy, którzy nigdy nie zostaniecie łowcami kobiet, choć po to zostaliście stworzeni. Mówię do was wielkim głosem – Oyermah zwrócił się wprost do coraz liczniej zapalających się świateł i pojawiających się w ich blasku cieni – mówię do was wielkim głosem, bo słyszę podszept, który każe mi mówić wielkim głosem! Unieście głowy, plugawi biuraliści uwodzący koleżanki z biura, lubieżni zwierzchnicy czyniący ofiarami swych żądź wasze podwładne, redaktorzy dybiący na cześć korektorek, dyrektorzy niewołący sekretarki, unieście głowy i wy, sprośni doktorzy, odwieczni pogromcy niższego personelu medycznego – grzmiał Oyermah. – Unieście głowy i słuchajcie. Słyszycie ten stukot? – Oyermah z wściekłością jął walić pięścią w drzwi własnego domu. – Słyszycie ten stukot? To wasze kochanki, to wasze aktualne kobiety, którym obiecywaliście niestworzone rzeczy, postanowiły wreszcie rozmówić się z wami. Przyszły do waszych domów i kołaczą do waszych drzwi! Gdy usłyszycie ten apokaliptyczny łoskot, gdy zastygniecie w śmiertelnym bezruchu i gdy po chwili z ulgą pojmiecie, iż to z premedytacją wymierzone gradobicie cichnie i pierzcha wraz z resztkami waszych koszmarnych snów, być może, z należytą uwagą przyjrzyjecie się temu z was, w którego życiu ta właśnie przygoda zdarzyła się naprawdę. – Oyermah znów skierował snop światła na Kohoutka. – Przyjrzyjcie mu się! On usłyszał gradobicie i ujrzał idącą przez ogród swą aktualną kobietę.

Oyermah zamilkł i jakby przez chwilę czekał na burzę oklasków, które winny nastąpić, po czym przemówił do Kohoutka najnormalniejszym w świecie głosem.

– Daruj, Kohoutku. Znasz moje kaznodziejskie narowy i wiesz, że jest to silniejsze ode mnie. – Doktor zszedł na dół i położył dłoń na ramieniu Kohoutka. – Daruj – powtórzył. – Zadałeś mi masę pytań – mówił dalej spokojnie i rzeczowo – i właściwie mógłbym natychmiast na nie próbować odpowiadać, ale dziś tego nie uczynię. Po pierwsze, jesteśmy obaj znużeni. Po drugie, godzina jest późna. Po trzecie, jestem pewien, że twoja fatalna kochanica dalej siedzi na drzewie i czeka na ciebie. Czeka, aż nadejdiesz i pomożesz jej na powrót zstąpić na ziemię.

Kohoutek drgnął, bo uświadomił sobie, iż doktor niezawodnie ma rację. Jego aktualna kobieta z pewnością nie odważyła się zeskoczyć, w zupełnych w dodatku ciemnościach, z konarów starej jabłoni. Przecież nawet po schodach stapała zawsze nadzwyczaj ostrożnie, z pełną wdzięku niezręcznością i zawsze (Kohoutek przypominał sobie niezliczone wspinaczki po schodach jej wieżowca, z wiecznie nieruchomą windą) i zawsze kurczowo trzymała się poręczy. Natychmiast chciał się odwrócić i biec, poczuł jednak, że spoczywająca na jego ramieniu ręka Oyermaha zatrzymuje go jeszcze.

– Jedno wszakże muszę ci wyjaśnić natychmiast, ponieważ, jak wiesz, lubię precyzję. Pomimo iż czytanie książek męczy cię i nudzi, Kohoutku, jak już czytasz, czyn to uważnie, zwłaszcza jak czytasz książkę pod tytułem *Pismo Święte*. Otóż Pan Jezus w *Ewangelii Mateusza* nie mówi: „Gdzie dwoje się zejdzie, jestem między nimi” ale mówi: „Albowiem gdzie są dwaj

albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest pośrodku ich”, a to jednak trochę co innego znaczy. Chyba że – powiedział powoli i z namysłem patrząc Kohoutkowi prosto w oczy – chyba że ty, Kohoutku, twoje kobiety poznajesz w Imię Pańskie?

– W każdym razie nie czynię tego przeciwko Niemu – odparł nagle rozczłony Kohoutek.

– Łamiesz Jego przykazania – Oyermah wypowiedział to zdanie szeptem.

– Ale wierzę w Niego - krzyknął rozpaczliwie Kohoutek. – Łamię Jego przykazania, być może, gniewa się On na mnie, ale to tym lepiej, bo w gniewie istnieje On mocniej i bardziej. Weń wierzę. *Pismo* mówi też: „Którzy są w ciele, Bogu się podobać nie mogą”. A ja, Kohoutek, jestem w swoim ciele i mojemu ciału podobają się kobiety, przez to ja nie podobam się Bogu. Ale to nie znaczy, że Bóg nie podoba się mnie. Wolę Go zagniewanego a nawet swarliwego niż dobrotliwego. Wydaje mi się, że wierzę weń prawdziwie, a prawdziwa wiara nie jest rzeczą łatwą. Tylko głupcy i prostaczkowie uważają, że prawdziwa wiara jest prosta jak nic.

– Kohoutku – powiedział z ojcowską wyrozumiałością Oyermah. – Przy Narodzeniu Pańskim byli i mędrcy, i pastuszkowie. I wiara mędrców, i wiara pastuszków jednakowo podobają się Panu.

– Ja nie jestem ani mędrce, ani pastuszkami – odparł krnąbrnie Kohoutek.

– To bardzo chwalebnie świadczy – Oyermah był prawie rozbawiony – to bardzo chwalebnie świadczy o twojej skromności, że w przeciwieństwie do zdecydowanej większości obywateli świata nie uważasz się za mędrca. Choć z tego, co mówisz, wynika, że drzemiał w tobie pewne zadatki myślenia spekulatywnego, i gdybyś nie tracił czasu na uganianie się za spódniczkami, a skupił na rzeczach naprawdę ważnych, to kto wie, może byś ty, Kohoutku, nie był zwyczajnym niecnotą? Ale, tak czy inaczej, zapewniam cię, że wszyscy, w o wiele większym stopniu niż nam się wydaje, jesteśmy pastuszkami.

– Kohoutku – powiedział po chwili Oyermah tonem oznajmującym definitywny koniec rozmowy – wpadnij do mnie w najbliższym czasie. Przyjdź, będziemy radzić, będziemy debatować, będziemy dumać, co począć. A teraz, pastuszkule – klepnął Kohoutka pożegnalnym gestem po ramieniu – a teraz, pastuszkule, biegnij do swojej pasterki i zdejmij ją z drzewa, bo uświerknie ci na amen.

## XII

Choć jej stopy prawie dotykały wierzchołków najwyższych traw, bała się, bała się ostatecznego kroku w niezglębioną otchłań. Kohoutek wziął ją na ręce. Objęła go z całych sił za szyję, przylgnęła doń spazmatycznie, jakby istotnie ratował jej życie. Jemu też w gruncie rzeczy się wydawało, iż zatrzymał ją na skraju przepaści, wydobył z topieli, wyniósł z płonącego domu. I jak to Kohoutek: najpierw mu się wydawało, potem zaś, w miarę zbliżania się do starej rzeźni, coraz bardziej zaczynał wierzyć we własne przywidzenia. Uczynił jeszcze kilka kroków i był święcie przekonany, że gdyby spóźnił się o minutę, byłoby już po wszystkim.

– Jak to dobrze, o, jak to dobrze, że jednak zdążyłem – szeptał do siebie w duchu.

Jego aktualna kobieta była lodowata jak ciało niebieskie. Czuł wilgoć jej zielonej sukienki (której nigdy przedtem nie widział), chłód jej policzka, wydawało mu się, że jej kruche ramiona przemarzły na wskroś. I nagle Kohoutek po raz pierwszy pojął, iż ona jest i istnieje naprawdę. Zrozumiał jej istnienie, ponieważ uświadomił sobie jej śmiertelność.

– Ona kiedyś umrze – pomyślał, to niemożliwe, ale pewne, za pięćdziesiąt, za sześćdziesiąt albo za osiemdziesiąt lat ona umrze i trzeba będzie ją zakopać. Kohoutek stanął w miejscu, ponieważ kilkadziesiąt lat, jakie miała przeżyć jeszcze jego aktualna kobieta, wydały mu się czasem przerażająco krótkim, tak krótkim, jak jeden rok, który przecież jest krótki jak mgnienie oka pomiędzy kolejnymi urodzinami Omy. I przerażony Kohoutek postanowił uczynić wszystko, aby przedłużyć życie swojej aktualnej kobiety.

– Musisz wziąć gorącą kąpiel – szepnęła jej do ucha. Raptownie zawrócił, zachwiał się, ale utrzymał równowagę i ruszył w kierunku domu. Ostrożnie postawił ją przy oknie olbrzymiej, znajdującej się w suterenie łazienki.

– Poczekaj chwilę – powiedział i spojrzął na zegarek. Była trzecia w nocy. W domu wszyscy powinni spać, wszyscy z wyjątkiem matki, która z pewnością zmywa jeszcze naczynia. Wejdę do kuchni i powiem, że odprowadzając Oyermaha chyba za lekko się ubrałem, bo przemarzłem do kości, powiem, że mam dreszcze i że drapie mnie w gardle, więc chcę wziąć gorącą kąpiel i zażyć przed snem aspirynę. Gdy jej to powiem ogarnie ją niewątpliwie satysfakcja, jaka ogarnia każdego proroka po spełnieniu się jego proroctw. (Matka Kohoutka istotnie nieustannie przepowiadała mu rozmaite choroby, w związku z czym każda jego choroba była spełnieniem jej przepowiedni). Ona jednak – kombinował dalej Kohoutek – nie da po sobie poznać, iż ogarnął ją rodzaj znanej tylko wiarygodnym wróżbitom satysfakcji, powie jedynie: Kto nie słucha ojca, matki, ten słucha cielejącej łatki, tyle razy ci mówiłam, żebyś się nie wyletniał, i zamilknie i nie będzie się więcej do mnie odzywać ani zwracać na mnie uwagi. Za karę pozostawi mnie sam na sam z moją chorobą i minie co najmniej godzina, zanim zastuka do łazienki.

I myśl Kohoutka stała się ciałem. Wszedł do kuchni, w której matka zmywała naczynia i powiedział:

– Chyba za lekko się ubrałem, gdy odprowadzałem Oyermaha, przemarłem do kości, mam dreszcze i drapie mnie w gardle, wezmę gorącą kąpiel i zażyję przed snem aspirynę.

Matka przez chwilę się nie odzywała (wypełniał ją przez ten czas przejrzysty żywioł satysfakcji) po czym warknęła:

– Zmywam!

I zamilkła, i więcej nie zwracała nań uwagi. Pozostawiła Kohoutka własnemu losowi, karząc go za jego lekkomyślność. On zaś, nieco speszony, iż dialog niezupełnie ułożył się po jego myśli, udał się wprawdzie do swego pokoju. Otworzył szafę i wydobyl ciepłe kalessony, barchanowy podkoszulek, spodnie z granatowego sztruksu, flanelową koszulę w biało-czarną kratę, ciepłe skarpety i olbrzymi niczym kozuch Oyermaha sweter z owczej wełny. Zabrał też przezornie własną piżamę i szlafrok, i tak objuczony udał się do łazienki. Zamknął drzwi, puścił gorącą wodę do wanny, otworzył okno i pomógł swej aktualnej kobiecie wejść do środka. Uśmiechnął się do niej, zdjął z półki biały kąpielowy ręcznik i już otwierał usta, aby stanowczym i zarazem opiekuńczym tonem powtórzyć: Musisz wziąć gorącą kąpiel, gdy rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Tak – zamarł Kohoutek.

– To ja – rozległ się głos matki – otwórz, chcę ci coś powiedzieć.

– Jestem już w wannie.

– Otwórz, chcę ci coś powiedzieć – powtórzyła matka nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Kohoutek błyskawicznie rozebrał się do naga, wskoczył do wanny, spryskał twarz i ramiona, wyskoczył, owinał biodra ręcznikiem i wskazując ruchem głowy swej aktualnej kobiecie najbezpieczniejsze w takich sytuacjach miejsce, uchylił drzwi.

– Chciałam ci powiedzieć, że w domu... – matka przerwała, widząc, iż z Kohoutkiem jest coś nie w porządku. Przeształ z nogi na nogę, trząsł się, wykonywał raptowne ruchy, jakby walczył z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem. Kohoutek, istotnie, walczył. Stojąca za nim i zasłonięta drzwiami jego aktualna kobieta z całych sił ciągnęła za ręcznik, którym był owinięty.

– Cały się trzęsiesz – powiedziała matka. – Masz gorączkę i będzie dobrze, jeśli skończy się tylko na zapaleniu płuc. Kto nie słucha ojca, matki, ten słucha cielejącej latki. Tyle razy ci mówiłam, żebyś się nie wyletniał. W domu nie ma aspiryny – dodała po chwili – jest tylko polopiryna. Leży w kuchni na stole. Dobranoc.

– Dobranoc – powiedział Kohoutek i zamknął drzwi. Jego aktualna kobieta stała w kącie i przyciskała do ust ręcznik, którym był przed chwilą owinięty. Śmiała się, śmiała się coraz raptowniej, coraz spazmatyczniej, jej śmiech zdawał się być dalekim echem niedawnego śmiechu Oyermaha, śmiała się, kneblowała samą siebie białym kąpielowym ręcznikiem, w końcu postąpiła parę kroków i niemal zataczając się ze śmiechu usiadła na muszli klozetowej. Po chwili podniosła głowę, w jej lekko asymetrycznych rysach nie było już śladu wesołości, przez chwilę przyglądała się gołemu Kohoutkowi, a potem powiedziała bezbarwnym i bardzo cichym głosem.

– Jesteś bezwstydnym.

Kiedy zaś Kohoutek schylił się, by podnieść swą leżącą na podłodze garderobę, wskazała na prawie wypełnioną wannę.

– Skoro już raz byłeś w środku, proszę, kąp się pierwszy, ja poczekam.

I Kohoutek, którego nagle jeły przeszywać najprawdziwsze dreszcze i dygoty, niewiele myśląc zanurzył się w gorącej wodzie. Kąpał się, ona zaś skrzyżowawszy ręce siedziała nieruchomo. Potem wstała, zajrzała do szafki z kosmetykami, sprawdziła, czy działa suszarka do włosów, uruchomiła ją, skierowała jej wylot w stronę Kohoutka i powiedziała: Pifpaf. Podeszła do wanny, przysiadła na krawędzi, wskazującym palcem dotknęła jego namydlonych ramion, musnęła jego mokre włosy.

– Mój ty biedny chudzino – szepnęła. Kohoutek poczuł, że tężeje mu gardło, że nie jest w stanie wypowiedzieć słowa, że zaraz rozplącze się niczym Wielki Romantyk. Zanurzył więc twarz w wodzie, by nie było widać jego łez, splukał pianę z włosów i ramion.

– Nie zamocz sukienki – powiedział również szeptem i wykonał gest, który mógł świadczyć, iż chce ją delikatnie odsunąć. Wtedy ona znów wyciągnęła rękę, jakby zamierzała go jeszcze raz delikatnie pogłaskać, ale nie, tym razem boleśnie złapała go za czuprynę, pochyliła się i zasyczała mu wprost do ucha:

– Ty bydlaku, ani słowa dotąd nie powiedziałeś o mojej sukience, w ogóle nie zauważyłeś, że mam nową sukienkę, bydlaku jeden.

– Zauważyłem – powiedział wykrzywiając się z bólu, dalej z całej siły ciągnęła go za włosy – zauważyłem, jest ci w niej niezwykle do twarzy.

– Akurat – mruknęła pogardliwie. – Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu. Wylaż już. Puściła go i z kolei jakby zupełnie nie zwracając nań uwagi zaczęła z niezwykłą skrupulatnością oglądać leżące na pralce rzeczy, które przyniósł. Kolejno dotykała, wachała, podnosiła pod światło i odkładała bez słowa na miejsce kalesony, podkoszulek, koszulę, spodnie, skarpety i sweter. Kohoutek w tym czasie wytarł się, włożył piżamę i szlafrok i wypuścił wodę z wanny.

– Dobrze – powiedziała aktualna kobieta Kohoutka. Pochyliła się i z tym samym rodzajem zajadłej skrupulatności, z jakim przed chwilą oglądała przyniesione przez Kohoutka szaty, jeła szorować wannę. Kohoutek siedział na muszli klozetowej i przyglądał się jej nieludzko szybkim i sprawnym ruchom i uświadomił sobie, że jego aktualna kobieta przypomina mu trochę jego ojca, starego Kohoutka. Wszystko, co czyni, czyni z nieludzkim zapalem i nie spocznie, póki nie skończy. Tak, pomyślał Kohoutek, ona nie spocznie, póki cała ta historia nie skończy się tak, jak ona pragnie. Odwróciła się doń tyłem i zdjęła sukienkę. Chwilę stała nieruchomo, a potem powiedziała:

– Nie patrz się.

Kohoutek odwrócił twarz swoją ku ścianie i siedział nieruchomo. Z tyłu dochodził go plusk wody i przez chwilę przywidziało mu się, iż jest na pokładzie ogromnego żaglowca. Załoga i pasażerowie posnęli głębokim snem, a on jeden, Kohoutek, oparty o burtę wpatruje się w ciemność.

## XIII

– Trzeba wreszcie na serio pomyśleć o wynajmowaniu pokoi – powiedział przy wieczerzy łamiącym się z trwogi głosem Kohoutek – idzie zima, przyjedzie cała masa narciarzy, niejeden znów będzie szukał noclegu, a u nas pustych izb nie brakuje.

– Tak jest – nieoczekiwanie poparł Kohoutka Pan Naczelnik, dziadek Kohoutka – zjedzie się młodzież, a młodzież należy wspierać, ponieważ jest ona naszą przyszłością.

– Jakby wynająć pokój komuś przyjemnemu – Oma, babka Kohoutka, drobnymi łykami popijała herbatę z filiżanki – to przynajmniej byłoby się do kogo odezwać.

– Możecie mnie zabić – matka Kohoutka była blada jak śnieg – zabijcie mnie i zakopcie, a jak nie, to ja was zabiję. Czy wy nie wiecie, co to znaczy wpuścić kogoś obcego do domu?

– Co to znaczy? – zapytał, dziwiąc się własnej odwadze Kohoutek.

– Co to znaczy? To znaczy koniec. Siedź prosto, siedź prosto, bo jak ktoś zobaczy, że się garbisz, będziesz spalony. Wpuścić kogoś obcego do domu to znaczy zagłada na nas wszystkich.

– Będzie zapalał światło – matka pani Wandzi nienawistnie słowo po słowie cedziła litanie zbrodni – będzie gotował jedzenie, będzie się mył w łazience, będzie korzystał z ubikacji...

– Chyba lepiej – Oma ułamała kawałek suchej bułki i zanurzyła w herbatce – chyba lepiej, żeby zapalał światło i chodził do ubikacji, niż żeby po ciemku załatwiał się w kątku.

– Akurat, lepiej! – matka Kohoutka mówiła tak cicho, że zdawało się, lada chwila straci z wściekłości przytomność. Akurat, lepiej! Akurat, potrzebuję, żeby mi ktoś paskudził w łazience albo w ustępie, cały dzień, człowieku myj i sprzątaj po cudzym flejtuchu, a w nocy nie zmrzuj oka, bo nie wiadomo, czy nie przyjdzie i czy nas wszystkich nie zarżnie.

– Nie da się ukryć – ojciec Kohoutka starał się nadać swemu głosowi niesłychanie zdroworozsądkowe brzmienie – nie da się ukryć, nigdy nie wiadomo, kogo się wpuszcza pod własny dach. Ja, na przykład, jakbym zobaczył w tym domu jakiegoś wylegującego się do południa próżniaka, zabiłbym go na miejscu.

– Proszę, jak chcecie, żeby Duduś resztę życia – matka Kohoutka rzucała wszystko na jedną szalę – jeśli chcecie, żeby Duduś resztę życia spędził w więzieniu, proszę, wynajmujcie pokoje.

– Tak jest – powiedział z mocą ojciec Kohoutka – poszedłbym do kryminału, ale próżniaka bym zabił na miejscu.

– Nie macie serca – matka zaczynała płakać – jeśli chcecie wyrzucić mnie z domu, ale proszę, wynajmujcie mój pokój, zaraz się wyniosę, zaraz zabiorę swoje rzeczy, tylko błagam, błagam, pozwólcie mi skończyć ostatnią wieczerzę. Nie ciesz się, Dudusiu – zwróciła się do ojca Kohoutka – nie ciesz się, żebyś go zabił, to on ciebie by zabił, ale dla nich wynająć pokój mordercy to pestka.

- Trudno – powiedział ojciec – albo on, albo ja.
- A może – żona Kohoutka zachowywała wystudiowany spokój i konsekwentnie starała się nie patrzeć na swego zrozpaczonego męża – wynająć pokój jakiejś eleganckiej i schludnej damie?
- A może – przedrzeźniała ją matka Kohoutka – od razu powiesić na drzwiach czerwoną latarnię? Proszę bardzo, w jednym pokoju wampir z Rostowa, w drugim babilońska wszetecznicza.
- Wampira z Rostowa ujęła policja – Kohoutek był istotnie zrozpaczony, żałował z całego serca i pluł sobie w brodę, że wszczął tę, najwyraźniej zmierzającą do fatalnego końca rozmowę.
- To co z tego? – zdumienie matki było niemal autentyczne.
- A to z tego – wyręczył Kohoutka w udzieleniu odpowiedzi Pan Naczelnik, dziadek, że jest mało prawdopodobne, by gość zapuszkowany w ruskim pudle przyjechał tu na narty i wynajął u Kohoutków pokój.
- Niech się ojciec nie gniewa, ale ojciec jest zupełnie jak małe dziecko. Skąd ojciec wie, że ten, który zakolęczy do drzwi i poprosi o nocleg, nie jest wampirem? Co ojciec myśli, że on przedstawi się ojcu: Dzień dobry, Panie Naczelniku, jestem zwyrodnialcem, poproszę o nocleg? A może ojciec myśli, że on pokaże ojcu dowód osobisty, gdzie w rubryce „zawód” będzie miał wpisane „morderca kobiet”? Nie, on przyjdzie w nocy i ojca zarżnie – politowanie, z jakim mówiła matka, nie miało granic.
- Dlaczego mnie ma zarżnąć – bronił się Pan Naczelnik, dziadek – ja nie jestem kobietą.
- Ja wiem – powiedziała wolno i niemal spokojnie matka – ja wiem, że wam wszystkim o mnie chodzi, nie możecie się doczekać, żebym umarła.
- Proszę się opanować – Pastorowa do tej pory milczała, siedziała nieruchomo ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w pusty talerz; teraz jednak wyprostowała się, w jej pięknych oczach migotały płomienie – proszę się opanować, nikt tu pani nie życzy ani śmierci, ani niczego złego.
- Ja wiem, ja wiem – zakwiliła matka – że ani pani Pastorowa, ani ksiądz Pastor nie życzą mi niczego złego, ale jak można bez namysłu wpuszczać kogoś obcego do domu?...
- Matkę doprowadziłeś do łez – ryknął zniechęcony ojciec Kohoutka – matka płacze z twojego powodu, czy naprawdę trzeba cię zabić, żebyś tego więcej nie robił? Zrób to raz jeszcze - dodał ciszej – a upomnę się o twoją głowę.
- Nie podnoś na niego ręki, Dudusiu – matka nieoczekiwanie stanęła w obronie Kohoutka – wiesz przecież, jak on ciężko przechodził szkarlatynę.
- Nie idzie o to, aby bez namysłu wpuszczać do domu kogoś obcego, ale by po koniecznym namyśle ewentualnie wpuścić tu kogoś bliskiego – Pastorowa spokojnie przeczekwała kolejny epizod seansu nienawiści.
- Kogo pani Pastorowa ma na myśli? – zapytała matka, ocierając łzy.
- Myślę, na przykład, że z całym spokojem można by w tym domu dać mieszkanie jakiemuś emerytowanemu pastrowi.
- Jeszcze jednemu emerytowanemu pastrowi? – matka Kohoutka, która starała się nigdy nie okazywać zdumienia czymkolwiek (człowiek, który dziwi się czemukolwiek, okazuje swą słabość, bezwstydnie okazuje światu, że nie wie wszystkiego), tym razem sprawiała wrażenie osoby zaskoczonej.



– Tak jest, jeszcze jednemu emerytowanemu pastelowi – potwierdziła Pastorowa.

Zapadła dobra minuta ciszy, minuta ciszy, pomyślał Kohoutek, czcząc pamięć pogrzebanej w zaraniu idei, by moja aktualna kobieta zamieszkała w tym domu – po czym matka wybuchnęła ekstatycznym entuzjazmem:

– Nie jednemu, ale dwóm, trzem, czterem, kilku emerytowanym pastorom mogę dać tu mieszkanie. Boże, jakie byłoby to piękne: cały dom pełen emerytowanych pastorów. Nastalby prawdziwy czas radości – i matka niemalże dosłownie eksplodując nieokielzaną szczęśliwością, nagle wstała i zaśpiewała.

*Czas radości – wesolości  
Nastał światu temu  
Bo Zbawiciel-Odkupiciel  
Człeku dan grzesznemu  
Dziś się nam narodził  
Z bied nas oswobodził  
Będzie zawdy – droga prawdy  
Nas wodził.*

Skończyła śpiewać, usiadła i z pewnym zawstyżeniem powiedziała:

– Na kolędowanie jeszcze za wcześnie, ale ja jestem taka kontenta, taka kontenta jestem.

– Przepraszam, a których konkretnie emerytowanych pastorów ma pani Pastorowa na myśli? – zapytał ojciec.

Pastorowa spojrziała na zatopionego w swych myślach Pastora, zdawało się, iż jest on nieobecny duchem, iż bezgłośnie szepcząc do siebie, szlifuje frazy kolejnego kazania, ale nie, Pastor bystrym i ciepłym spojrzeniem omiół wszystkich domowników, po czym rzekł:

– Na przykład, ksiądz pastor Potraffke przechodzi od nowego roku na emeryturę i z pewnością byłby wielce rad...

– Potraffke? – przerwał mu ojciec, przecież pastor Potraffke jest po trzecim zawale i lada dzień, za przeproszeniem księdza Pastora, wyzionie ducha...

– Tak, tak – potwierdziła skwapliwie matka – lekarze nie dają pastelowi Potraffke więcej jak miesiąc. Będzie pogrzeb! – krzyknęła po chwili z entuzjazmem – będzie pogrzeb!

– Również ksiądz pastor Konderla przechodzi niebawem na emeryturę – padła kolejna kandydata.

Matka Kohoutka niecierpliwie machnęła ręką, w głosie ojca zaś zabrzmiał ton podszytej irytacją perswazji.

– Oglądaliśmy z małżonką zdjęcia rentgenowskie pastora Konderli, on ma raka wielkości piłki futbolowej.

– Złośliwego – dodała matka uśmiechając się czarująco – z przerzutami.

Pastorowi lekko drżały ręce, uśmiechał się jednak dalej dobrotliwie.

– A ksiądz Śniegón?

– Śniegoniowi tak – potwierdziła radośnie matka – księdzu pastelowi Śniegoniowi można wynająć pokój, wypada jedynie przez grzeczność poczekać, aż zemrze pani pastorowa Śniegoniowa, ona ma zaawansowaną cu-

krzycę i zupełnie nie przestrzegam diety. Długo to nie potrwa. Och, jak się cieszę, że wreszcie coś ustaliliśmy! Wynajmiemy pokój pastorowi Śniegowiowi. Jak tylko owdowieje.

– A ja – powiedział ojciec Kohoutka – jestem w olimpijskiej formie.

– Tak, tak – potwierdziła matka – Duduś to istny Herkules.

– Powinszować, powinszować – Pastor uśmiechał się dziwnie smutno – jesteśmy prawie rówieśnikami, mój przypadek jest jednak kiepski, nieborak, ledwo się ruszam – reumatyzm, podagra, bóle głowy, bezsenność, kłopoty z nerkami.

– A ja – powiedział ojciec Kohoutka – jestem zdrowy.

– Można by też wynająć pokój jakiejś profesorce z gimnazjum – Oma nieoczekiwanie wróciła do definitywnie, zdawać by się mogło, rozstrzygniętego i zakończonego wątku.

– Nie wiem, nie wiem – wahała się matka – nie wiem, czy znajdzie się miejsce.

– Dla profesorki z gimnazjum musi się znaleźć miejsce – powiedział z nieoczekiwaną agresją w głosie Pan Naczelnik – nauczyciel, lekarz i ksiądz to są święte zawody i dla nich zawsze musi się znaleźć miejsce.

– Lekarz? Doktor? – euforia i błogostan matki pierzchnęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – mowy nie ma! Co mi ojciec chce z domu zrobić – szpital? Pogotowie? Izbę porodową? Mowy nie ma! Profesorka z gimnazjum – można się zastanowić – jakby ewentualnie zwolnił się jakiś pokój – matka bezwiednie spojrzała w kierunku pani Wandzi i matki pani Wandzi, błyskawicznie wszakże odwróciła głowę, jej spłoszony wzrok natknął się na skulonego nad stołem Kohoutka.

– Paweł, nie garb się. Człowiek ma siedzieć prosto, człowiek ma być na obraz i podobieństwo Pana.

– Nie stawiaj przed nim tak nieosiągalnych wzorców powiedział ojciec sytym głosem złotego medalisty – wystarczy żeby był na mój obraz i podobieństwo. – Potem ujął dłoń matki i położył sobie na sercu.

– Czujesz, jak pracuje ta pompa?

– Czuję, Dudusiu! – odparła matka z podziwem.

Ojciec przeciągnął się, stylizując swe ruchy na podobieństwo prężącego się do skoku lwa – króla zwierząt.

– Tak – powtórzył – jestem w olimpijskiej formie. Dobry piechur – mówił dalej – powinien przejść w ciągu godziny pięć kilometrów. Stół, za którym siedzimy, ma pięć metrów długości i półtora metra szerokości, czyli jego obwód wynosi trzynaście metrów. Ja jednak będę chodził po znacznie większym promieniu, więc mogę przyjąć, iż jedno okrążenie wokół stołu wynosi piętnaście metrów. Aby zatem krążąc wokół stołu przejść pięć kilometrów, należy – w ciągu godziny rzecz jasna – wykonać 333,33 okrążenia. A ja – powiedział ojciec Kohoutka, potrafię wykonać 333,33 okrążenia w ciągu trzydziestu minut. – I natychmiast wstał i z niesłychaną wprawą zawodowego chodźnika, energicznie balansując ciałem i szaleńczo wywijając łokciami, jął krążyć dookoła stołu.

Kohoutek czuł, że ciemność, w którą spoglądał niedawno, jest teraz w nim i wypełnia go ze szczętem. Czuł, że zajęła miejsce jego kości, mięśni i trzewi. Czuł, że zamiast krwi – krąży w nim ciemność. Domownicy siedzieli w milczeniu. Za ich plecami rozlegały się sprężyste, prędkie kroki Dudusia – olimpijczyka i słychać było jego coraz chrapliwszy oddech.

## XIV

– Ja jestem powodem wszystkich twoich nieszczęść, a ty jesteś pierwszą przyczyną wszystkich moich nieszczęść – powiedziała do Kohoutka jego przystojna żona. – Sami sobie jesteśmy winni.

Żona Kohoutka miała na sobie czarny płaszcz z czerwonymi wypustkami, jej ciemne włosy opadały na ramiona, w dłoni trzymała różę na bardzo długiej łodydze. Szli na cmentarz, aby położyć kwiat na grobie pradziadka, mistrza masarskiego Emiliana Kohoutka. Ich zasepione dziecko wlokło się za nimi.

– Nie chciałabym sprawiać ci przykrości, raczej chciałabym ci pomóc, ale muszę wyznać, że trochę mi się sprzykrzyły twoje wieczne zdrady, twoje wieczne uganianie się za innymi kobietami, twoje wieczne kłopoty z samym sobą.

Żona Kohoutka mówiła spokojnie i rzeczowo. Był to ten rodzaj spokojnej rzeczowości, który cechuje niezwykle piękne i świadome swej urody kobiety.

– Większość małżeństw ma takie czy inne problemy – ciągnęła dalej – ale rzecz w tym, że, w gruncie rzeczy, ja wcale nie jestem pewna, czy my jesteśmy rzeczywistym małżeństwem. Nasz problem jest bardziej zasadniczy. Daruj, ale niekiedy czuję się u twojego boku jak stara panna albo – obyś Kohoutku żył wiecznie – jak wdowa.

– Jak to się dzieje, że wszyscy, oprócz mnie, wszystko o mnie wiedzą? – pomyślał Kohoutek. – Dlaczego ja ciągle zadaję pytania i prawie na żadne nie znajduję odpowiedzi, reszta zaś ludzkości, z moimi krewnymi i moimi aktualnymi kobietami na czele, zna odpowiedzi na wszystkie zadane i nie zadane pytania? Jak to możliwe?

– Wszystko z tego powodu, że zbyt wcześnie – żona Kohoutka zdawała się odpowiadać na kolejne pytanie – zbyt wcześnie poznaliśmy się, zbyt wcześnie pokochali i zbyt wcześnie pobrali. A także z tego powodu, że nie potrafiłszy się odpowiednio wcześnie rozstać.

Wspinali się powoli na wysokie wzgórze, na którym rozciągał się cmentarz ewangelicki. Był lodowaty niedzielny poranek. Lada dzień, lada chwila mógł zacząć sypać śnieg, mogły nastać mrozy, a wtedy droga na cmentarz stawała się stromą, skalistą, oblodzoną, pokrytą zaspami ścieżką nie do przebycia. Toteż od pokoleń zima w tych stronach nie była porą śmierci. Starzy ewangelicy starali się nie umierać zimą. Czekali na wybuch wiosny, na czas, w którym rozmiękła ziemia pocznie łagodnie niczym ciepłe jezioro pochłaniać ich jasne dębowe trumny. Ci, którzy szykowali się do ostatniej drogi, a nie zdążyli tego uczynić jesienią, mieli przed sobą ostatnią zimę życia i tak jak wszystkie zimy spędzali ją pożytecznie. W miarę sił pomagali w domu, powtarzali sobie niemieckie słówka, bo przecież, kto wie, czy w Winnicy Pańskiej nie napotkają doktora Marcina Lutra, a wtedy będzie wypadało powiedzieć przynajmniej: *Guten Tag Herr Doktor Luther, ich bin also ein Lutheraner aus Weichsel in Polen*. Wieczorami zaś, spoglądając przez okna na zamarznięty świat, opowiadali straszliwe historie o zimowych

pogrzebach, które jednak zdarzały się niekiedy miejscowym lekkoduchom. Opowiadano o pogrzebnikach tonących po pas w śniegu, o trumnach wymykających się z ich zgrabiących rąk, o zrozpaczonych wdowach, które poślizgnąwszy się nagle na lodowatej krawędzi mogiły wpadały, jakby wiedzione nie nieszczęśliwym trafem, ale desperacką rozpaczą, do środka. Opowiadano sobie te wszystkie wydarzenia, zanosząc się gargantuicznym śmiechem, konano wprost ze śmiechu i Kohoutek, który słyszał niemało tych historii – uśmiechnął się bezwiednie.

– W tym, co mówię, nie ma nic śmiesznego – powiedziała jego żona.

– Uśmiechnąłem się, bo przypomniały mi się wielkie pogrzebowe śmiechy.

Żona Kohoutka spojrzała nań pogodnie.

– Kohoutku, jesteś już dużym chłopcem i powinieneś wiedzieć, co wypada a czego nie wypada.

Doszli do drewnianej furty i weszli na cmentarz. Środkiem, pomiędzy grobami biegła stroma kamienista dróżka, mogiły wznosiły się amfiteatralnie ku górze aż ku pionowemu urwisku starego kamieniołomu. W dole, okalając stok cmentarza, płynęła rzeka.

– Choć rzecz w tym, że ty wcale nie jesteś dużym, ty jesteś dalej małym chłopcem i przyczyną wszystkich twoich zmartwień i kłopotów jest fakt, iż dalej, niczym mały chłopiec, żyjesz wyłącznie w świecie zakazów. Mam, oczywiście, na myśli tak cię nękającą i tak dla ciebie fundamentalną problematykę cielesnej udreki. Od kiedy pamiętasz, tabu cielesności obejmowało cię zawsze. Gdy byłeś bardzo młodym chłopcem, dzieckiem jeszcze i żywo zaczynałeś interesować się tymi sprawami, były ci one zabronione, ponieważ, jak wiadomo, te sprawy są młodym chłopcom zabronione.

– Czy jesteś pewna – przerwał jej Kohoutek – że cmentarz jest odpowiednim miejscem do prowadzenia tego typu rozmów?

– O, głupi Kohoutku – powiedziała, zupełnie nie zmieniając pogodnej intonacji jego przystojna żona – o, głupi Kohoutku, który miewałeś osiemset kobiet w ciągu weekendu, nie masz zielonego pojęcia ani o kobietach, ani o świecie. Gdybyś wiedział, Kohoutku, ile kobiet utraciło dziewictwo na cmentarzach świata, twoje życie duchowe nie byłoby tak ubogie. Cmentarz jest dobrym i spokojnym miejscem, ci, którzy tu odpoczywają, są pogodzeni ze światem i nasze chwilowe wszeteczeństwa nie zakłócą ich spoczynku. Kohoutku – mówiła dalej – ty odwieczny poszukiwaczu bezpiecznych miejsc, ustronnych ławek w parkach, zacisznych zagajników, pustych zaułków, ciemnych bram, podmiejskich lasków, ty, niestrudzony penetratorze pustych altanek, ogródków działkowych, zarośli nad rzeką, czy tobie nigdy nie przyszło do głowy, by zaprowadzić którąś z twoich licznych narzeczonych na cmentarz, odbyć z nią romantyczny spacer do wypełnionego dusznym, lipcowym powietrzem, pachnącego kwiatami ogrodu zmarłych?

Kohoutkowi nigdy nie przyszło to do głowy, ale nim zdążył odpowiedzieć, jego osowiałe dziecko ożywiło się nagle i krzyknęło:

– Patrzcie! Patrzcie! Jeleń!

W górze cmentarza, pomiędzy krzyżami, spokojnie pasła się w wysokiej białej trawie sarna.

– To jest sarna, dziecko kochane – powiedział Kohoutek. Zwierzę uniosło głowę zaniepokojone krzykiem dziecka, chwilę spoglądało w ich kie-

runku, po czym majestatycznym krokiem ruszyło w górę i niebawem zniknęło pomiędzy pniami rosnących tam brzoź.

– Widzisz, Kohoutku, nawet zwierzęta leśne wiedzą, że jest tu bezpieczne. Nikt tu nie będzie do nich strzelał. Zmarli myśliwi nie wstaną z grobów, by urządzić na nich nagonkę. Trawa wyrastająca ze szczątków naszych protestanckich przodków jest tu żyzna i ożywcza niczym idee reformacji. Cmentarz jest dobrym i spokojnym miejscem, a miłość i śmierć blisko siebie stoją. Tyle przecież wiesz, Kohoutku, tego uczyli nawet w szkołach pod moskiewskim jarzmem.

– Tak, tyle wiem – powiedział Kohoutek z sarkazmem i usiłował sobie przypomnieć jakieś szczegóły, ale wyraźnie mu nie szło.

– Skoro wiesz, to pozwolisz, że powiem ci, co mam do powiedzenia. A poza tym muszę to zrobić tutaj i teraz, bo kiedy indziej i gdzie indziej nie ma sposobności. W domu, we wszystkich naszych rozmowach bierze udział twoja matka, do kawiarni ani na spaceru raczej nie chodzimy, wieczory i noce spędzamy, generalnie rzecz ujmując, osobno, ty często wyjeżdżasz... Choć ostatnio wyjeżdżasz trochę rzadziej, czyżbyś znalazł coś na miejscu, a może sprowadził się ktoś w twoje strony?

– Dobrze, mów – w głosie Kohoutka dało się wyczuć niejaką irytację – i pośpiesz się.

– Ależ to, co powiem będzie bardzo krótkie, parę zdań zaledwie. – Żona Kohoutka znów spojrzała w górę cmentarza, gdzie pomiędzy brzożami błękało się ich osowiałe dziecko.

– A więc zakaz tego, co wiesz, obejmował cię od zawsze – zaczęła raz jeszcze. – Gdy byłeś młodym chłopcem, nawet własne ciało było ci zabronione. Musiałeś się więc nieustannie ukrywać, gorączkowo konspirować swe zainteresowania, chyłkiem zadawać się z samym sobą, ukradkiem studiować wiadome lektury, w poczuciu nieustannego zagrożenia kontemlować wiadome wizerunki. Tak minęło ci późne dzieciństwo i burzliwe lata dojrzewania. Niestety, bardzo wcześnie, o wiele za wcześnie, w wieku siedemnastu lat zaledwie, poznałeś mnie, siedemnastoletnią kobietę. Rychło się zorientowałeś, iż ja nie należę do obozu przeciwnika, iż nie należę do mrocznej społeczności tych, którzy nieustannie zakazują ci dostępu do owocu zakazanego... Wręcz przeciwnie, pozwalałam ci na wszystko, a nawet niekiedy nakłaniałam cię do wszystkiego, ponieważ byłeś miłym i ładnie pachnącym chłopcem, Kohoutku. Zdawać się więc mogło, że czasy zniewolenia, strachu i wiecznej konspiracji minęły bezpowrotnie. Nic bardziej mylnego. Dalej byliśmy dziećmi – żona Kohoutka delikatnie wzięła go pod ramię – i dalej musieliśmy się ukrywać. Teraz zakaz podwojony, rozmnożony na mnie i na ciebie stał się w pewnym sensie o wiele bardziej uciążliwy. Dawniej ukrywałeś wyłącznie swe paskudne myśli, książki, ewentualnie jakieś brzydkie obrazki. Teraz oboje musieliśmy ukrywać siebie samych, musieliśmy ukrywać przed światem nasze Ignące do siebie ciała. Konspirowanie w teorii jest przecież o wiele prostsze od konspirowania w praktyce. Co więcej, ja, Kohoutku, zaczęłam z wolna dezertować. Zaczęłam z wolna przechodzić do obozu twych odwiecznych przeciwników, zaczęłam z wolna ci zabraniać, zaczęłam cię miarkować. Tropiłam twoje myśli biegnące w kierunku innych niż ja kobiet, represjonowałam twoje nie tam gdzie trzeba skierowane spojrzenia, druzgotałam twoje nadzieje dotyczące

prób poznania kogokolwiek poza mną. Wkrótce stałam się twoją najsurowszą strażniczką, zakazałam ci absolutnie wszystkiego poza sobą, przy czym, jeśli idzie o mnie samą, Kohoutku, wiesz dobrze, iż także nie zezwalałam ci na wszystko, niektóre rzeczy obwarowane były ścisłymi zakazami, niektóre twoje pragnienia nigdy nie mogły zostać zrealizowane, ponieważ raz na zawsze zostały ci zakazane. A poza tym, choć to ja byłam twoją najsurowszą strażniczką, nas oboje dalej obowiązywały powszechne zakazy, tropili nas rodzice, moje zazdrosne koleżanki, twoi głupawi koledzy, recepcjoniści w hotelach, właściciele pensjonatów, portierzy, wszyscy. Gdy pobraliśmy się, sytuacja właściwie nie uległa poprawie. Nie mieliśmy mieszkania, gnieździliśmy się najpierw w dwupokojowym mieszkaniu moich starych, gdzie bardziej niż o miłości myślałam o nadmiernie skrzypiącym łóżku, a potem przenieśliśmy się tutaj, gdzie, po pierwsze, niewiele jest lepiej, po drugie – jest już za późno. Ty, Kohoutku, zacząłeś od pewnego czasu rozpaczliwie uciekać, zacząłeś szukać miłości, która nie byłaby ci, jeśli nie w całości, to z pewnością pod wieloma względami zakazana. I odkryłeś, że jedyną prawdziwie dozwoloną miłością jest miłość całkowicie i przez wszystkich zakazana. Bo warunkiem rzeczywistej miłości zakazanej jest jej chwilowe wprowadzenie, ale całkowite bezpieczeństwo. Znasz się na tym i wiesz, że trzeba przede wszystkim znaleźć bezpieczne i dobre jak cementarz miejsce. Miejsce, w którym choć przez godzinę, choć przez jeden wieczór nie obowiązują żadne zakazy. Tak właśnie postanowiłeś żyć: w niekończącym się ciągu jednorazowych upojeń. Tu leży źródło twojej niepowściągliwości: grzeszysz, łamiesz zakazy, narażasz się na nieustanne niebezpieczeństwa po to, by przez moment poczuć się bezgrzesznym, wolnym i bezpiecznym. Twoja tragedia polega na tym, że w takich chwilach ty naprawdę wierzysz, że jesteś bezgrzeszny, wolny i bezpieczny. Z twoich rzeczywistych mąk cielesnych, z faktu że – jak powiada apostoł Paweł – „wieczne upalenie cierpisz”, wyciągasz, Kohoutku, fałszywe konsekwencje intelektualne. Rozumiesz, co mam na myśli?

Stanęli przy starannie obłożonej jodłowymi gałązkami mogile. Na środku leżał upleciony dwa tygodnie temu przez Omę wianek polnych kwiatów. Na prostej granitowej tablicy widniał napis: Mistrz masarski Emilian Kohoutek 1869–1956. Żona Kohoutka pochylila się i położyła w poprzek wianka różę. Złożyła ręce jak do modlitwy i powtórzyła:

- Rozumiesz, co mam na myśli?
- Nie – odparł Kohoutek.
- Dobrze, wyjaśnię ci za chwilę, a teraz pomyśl o pradziadku.

Kohoutek o swym pradziadku myślał często. Nie pamiętał go wcale. My starzy kronikarze tamtej epoki pamiętamy go świetnie. Emilian Kohoutek do końca swych dni wiódł burzliwe i awanturnicze życie. Podróżował. Nieustannie powaśniony z domownikami, przynajmniej raz w miesiącu definitywnie wyprowadzał się z domu. Gdy wracał – jakby pragnąc podkreślić tymczasowość swego powrotu – zamieszkiwał zawsze w ostatniej, nigdy nie opalanej izbie. Stało tam jedynie żelazne łóżko i olbrzymi dymion produkowanego przezeń z wszelkich dostępnych owoców wina.

Do końca wierzył, że stara rzeźnia pod jego zwierzchnictwem znów ruszy pełną parą. Nie godził się na sprzedaż niszczących z wolna maszyn

masarskich. Nieustannie jeździł do Cieszyna z fantasmagorycznymi planami operacji administracyjnych, które rzekomo doprowadzić miały do ponownego uruchomienia masarni. Urzędnicy magistracy przez szacunek dla sędziwego wieku, a także zapewne z lęku przed jego popędlivością nie przypominali mu, iż masarnia była już przed wojną ogromnie zadłużonym i praktycznie upadłym przedsiębiorstwem. Po każdej z nieudanych wypraw do powiatu wracał w sztok pijany.

Kohoutek zawsze bezwiednie wyobrażał sobie, iż jego pradziadek był ludzko podobny do doktora Oyermaha. Być może, były pomiędzy nimi pewne podobieństwa duchowe. Natomiast pod względem fizycznym stary Kohoutek był zupełnym przeciwieństwem Oyermaha. Był to niski, drobny mężczyzna z niezwykle charakterystycznym przedziałkiem i, rzecz można, jeszcze bardziej charakterystycznym wąsikiem. W czasie okupacji jego zdumiewające podobieństwo do dyktatora wielokrotnie ułatwiało i zapewne ratowało mu życie. W starannej stylizacji na wąsy i fryzurę wodza naiwni najeźdźcy dostrzegali wyraz niekłamane gołdu. Było zgoła przeciwnie. To mistrz masarski Emilian Kohoutek uważał fűhrera za swego nędznego naśladowcę i głównie z tego powodu gardził nim z całej duszy.

Umarł, tak jak żył – naruszając powszechnie panujące obyczaje. Umarł w samym środku mroźnej i śnieżnej zimy. Choć on sam był nikczemnego wzrostu i lichej postury, trumna, w której go złożono, była masywna i ciężka jak wszystko w tamtych czasach. Gdy tuż przed skruceniem konduktu z głównej alejki cmentarnej w stronę otwartej mogiły, wyslizgnęła się z rąk niosących ją mężczyzn i z łoskotem runęła na ziemię, nikt w gruncie rzeczy nie był zaskoczony, raczej oczekiwano, że coś takiego się wydarzy, prawdę powiedziawszy wszyscy uczestnicy tłumnego pogrzebu po cichu liczyli, że stary Kohoutek przed złożeniem do grobu da jeszcze znać o sobie. Ale nikt nie przewidział rozmachu, z jakim miał to uczynić. Wraz z trumną runął bowiem na ziemię syn nieboszczyka, Pan Naczelnik, dziadek Kohoutka. Upadł tak nieszczęśliwie, że głową uderzył w przód trumny i ta ruszyła w dół po oblodzonych kamieniach. W gruncie rzeczy, była to przepiękna piłkarska akcja. Po powietrznym pląsie syn, lecąc szczupakiem tuż nad ziemią, trafił głową w trumnę, w której spoczywał jego ojciec i nadał jej dalekosiężny lot. Oslupiali pogrzebnicy rozstępowali się przed sunącą pomiędzy ich stopami trumną. Opowiadano później, że nie tyle rozstępowali się, co pierzchali w popłochu, trumna podskakując po oblodzonym bruku wydawała bowiem łoskot tak przeraźliwy, iż wszystkim się zdawało, że stary Kohoutek zmartwychwstał, ocknął się i z właściwą sobie raptownością próbuje wyjść na zewnątrz. I wszyscy spoglądali niemo, jak upiorny wehikuł z coraz większą szybkością sunie w dół, wprost ku wolno wspinającej się cmentarną alejką Helence Morcinkównie (trąbka).

Tak. Helenka Morcinkówna, która na początku stulecia jako druga wstąpiła na podium w restauracji „Pod Jeleniem” w Cieszynie i zagrała na trąbce, wlokła się na końcu pogrzebu. Całe życie była śmiertelnie i nieszczęśliwie zakochana w Emilianie. On nie dbał o jej miłość, gardził nią i wyśmiewał. Miewał inne kobiety – czego zresztą nigdy nie zwykł ukrywać, nawet przed własną żoną, równie, a może bardziej jeszcze nieszczęśliwą niż Helenka. Myślała o nim przez całe życie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by spotkać się z kimś innym, choć on nigdy się z nią nie spotkał. Nigdy nie

przyszło jej do głowy, by porozmawiać z kimś innym, choć on nigdy z nią nie rozmawiał. Nigdy nie pomyślała, że można by zatańczyć z kimś innym, choć on nigdy nie poprosił jej do tańca. Nigdy nie pomyślała, że ktoś inny mógłby przyjść do jej samotnego domu, choć on nigdy nie przyszedł. Czekala. I im dłużej czekała, tym bardziej wierzyła, że chwila nadejdzie. Toteż teraz, gdy usłyszała łoskot i ujrzała sunącą ku sobie trumnę, nie miała wątpliwości: jej ukochany, przekroczywszy próg tego świata, pojął wreszcie jej miłość i biegnie ku niej. I Helenka Morcinkówna odrzuciła kostur, na którym się opierała i rozchyliła ramiona. Rozpędzona trumna podcięła jej chrome nogi, ona zaś runęła na wieko. Z całych sił objęła drewnianą skrzynię, która pod jej ciężarem nabrała jeszcze większej prędkości, przemknęła przez otwartą cmentarną bramę i wąską ścieżką jęła zjeżdżać w dół ku rzece. Wyglądało to tak, jakby ruchem trumny istotnie kierowała czyjaś niewidzialna ręka albo jakby sama Helenka niczym wytrawna bobsleistka wprawnie brała kolejne wiraże i zakręty. W końcu nad urwistym brzegiem rzeki nastąpił finisz – nieboszczyk Kohoutek i jego wreszcie szczęśliwa kobieta zjechali na zamarzniętą tafłę, i trumna niczym łódź nowożeńców długo jeszcze sunęła z biegiem rzeki. Zdawać się mogło, że Emilian Kohoutek naprawdę postanowił umknąć z grobu, zabrać Helenkę i na prymitywnej, zbitej z kilku zaledwie desek tratwie, ruszyć z nią daleko ku ciepłym morzom i szczęśliwym wyspom.

Kohoutek wiele razy słyszał tę niewiarygodną historię o pogrzebie swego pradziadka, ale ciągle mu się wydaje, że także ją widział. Może kiedyś śniła mi się trumna zjeżdżająca z wysokiej góry, może widziałem taką scenę w jakimś filmie, może jest to opisane w jakiejś książce – muszę ją zapytać, Kohoutek przypomina sobie o swojej aktualnej kobiecie, podtrzymuje ramię swojej przystojnej i wykształconej żony, drugą ręką prowadzi swoje zaspione dziecko i wszyscy powoli idą tą samą kamienistą ścieżką, którą przed laty mistrz masarski Emilian Kohoutek odbył swą nieśmiertelną, trumienną sannę.



## XV

– Bracia i siostry, którzy toniecie w kieliszku! – grzmiał Pastor – Pijanice i opoje! Wy, którzy nie toniecie, wy, którzy już zatoneśliście – do was dziś mówię.

Pastor zawsze po napisaniu kazania zwykł czytać je na głos. Nie tyle czytać, co wygłaszać z dawną kaznodziejską werwą, z dawną, nieco przesadną aktorską modulacją. Od dwu lat był na emeryturze i z rzadka tylko wstępował na ambonę, po starym jednak co tydzień pisał kazania i, jakby szykując się do rzeczywistego nabożeństwa, co sobota wygłaszał je w swoim gabinecie. Ostatnio czynił to częściej. Homiletyczne natchnienie spływało nań o najosobliwszych porach dnia czy tygodnia. Bywało, że w środku obiadu, pomiędzy pierwszym a drugim daniem zrywał się od stołu, biegł do siebie, zatrzaskiwał drzwi, i po trzech, czterech godzinach rozlegał się stamtąd jego donośny głos.

Gdy zaczynało się kazanie, domownicy przerywali swe zajęcia, zasiadali w kuchni i słuchali. Nie sposób wszak ignorować rozlegającego się we wszystkich pokojach słowa bożego. Choć, nie ma co ukrywać, im częściej i o im bardziej dziwnych godzinach Pastor zaczynał kazać – stawało się to coraz uciążliwsze. Teraz też – Kohoutka, gdy usłyszał wiekuiłą inwokację „Bracia i siostry”, o mało szlag nie trafił. Matka i Pastorkowa akurat się wybierały do domu zborowego na godzinę biblijną i była dobra sposobność, by wpaść na strych starej rzeźni, a tu masz, trzeba słuchać, jak Pastor gromi pijaków.

– Teraz dopiero rozumiecie – słyhać było jego głos – straszliwy sens wyrażenia: zatapiać swe smutki i troski w alkoholu, czy też jak prawi gmin: zalewać robaka. Teraz dopiero pojmujecie prawdziwy sens tego słowa, a jakże ono kiedyś banalne i stereotypowe się wam wydawało!

Matka i Pastorkowa z milczącą furią zdjęły palta, które już miały na sobie, i udały się do kuchni, za nimi Kohoutek, za Kohoutkiem pani Wandzia i jej matka, potem przystojna żona Kohoutka z podręcznikiem do nauki języków obcych. Oma i Pan Naczelnik siedzieli już za stołem. Na końcu zjawiło się osowiałe dziecko Kohoutka z walkmanem na uszach. Matka Kohoutka, ujrząwszy je, jęła mierzyć jego zakryte uszy karzącym i surowym spojrzeniem, dziecko wszakże nie tylko nie ustąpiło, lecz odpowiedziało jej spojrzeniem tak dogłębnie posepnym, iż matka Kohoutka skapitulowała i odwróciła wzrok. Wszyscy milczący, i z wyjątkiem Omy pobladli z wściekłości, słuchali kazania.

– Tak, teraz, kiedy wasze śpiące głowy pochylają się nad pełnym kieliszkiem niczym nad taflą jeziora – huczało z głębi domostwa – teraz, kiedy kieliszek ten jest tak ogromny, że spozierając nań musicie zadzierać wasze śpiące głowy, a i tak nie widzicie jego wierzchołka, bo okalają go obłoki, teraz rozumiecie, co to znaczy „topić się w gorzałce”, co to znaczy „być na dnie kieliszka”! Do was mówię, bywalcy szynkwasów! Do was mówię, siedzący w gospodzie! Wydaje wam się jeno, bracia i siostry, iż ci, którzy patrzają na was, widzą was tak jako i wy siebie widzicie. Wydaje wam się, że

widzą mężczyznę czy niewiastę statecznych i dojrzałych w leciech, którzy dzierząc w palcach wiadome naczynia, sączą z nich odrobinę ożywczego nektaru, wydaje się wam, iż owi, którzy patrzą na was, sądzą, iż oto pragniecie spocząć po ciężkiej robocie albo ukoić skołatane nerwy, albo zebrać myśli przed ważną decyzją. Jakże się mylicie, jakże was zawodzą wasze zdruzgotane przez gorzałkę zmysły! To, co bierzecie za realność, jest tak mglistym majakiem, że doprawdy śmiech bierze. Ha, ha, ha, ha, ha – Pastor zaśmiał się, a raczej udał, że się śmieje prawdziwie frankensteinowskim śmiechem i Kohoutkowi ciarki przeszły po plecach. Jakiż tam mężczyzna stateczny i dojrzały w leciech! Malec! Karzełek! Lilipucik! Pigmej! Jakaż tam niewiasta stateczna i dojrzała w leciech! Dziecko! Osesek! Karliczka! Czerwony Kapturek! I nie ma żadnych wiadomych naczyń, które dzierży się tu w palcach. Naczynie jest niewiadome, nieznane i niespotykane. Jest wielkie jak szklana góra. Jak basen olimpijski. Jak wielka bania świata. Być może czyjeś palce dzierżą to naczynie. Ale nie są to wasze palce. Wy jesteście okruczem pływającym na głębokościach. Ty, nieszczęsny pijanico, jesteś niczym homunkulusik płynący w głębinach coraz niezdarniejszą zabką. Nie ma tu człowieka z kieliszkiem w dłoni, jest jedynie kieliszek z człowiekiem na dnie! Nie ma tu gospody! Nie ma tu szynkwasu! Jest jedynie kunstkamera pełna szklanych słoików, w których pływają wasze szkieleciki. Jest jedynie galeria akwariów, co mówię: akwariów alkoholariów: tu w winiaku luksusowym – głos Pastora nabrał nieoczekiwanego ciepła – pływa niczym rybka gupik elegant w garniturze, jeszcze nieźle sobie radzi, żwawo pływa od ścianki do ścianki, tu, w zielonkawych nurtach żubrówki niewiasta piękna jak welonka najwyraźniej resztkę sił z siebie dobywa, tu w winie czerwonym kona niczym glonojad magister nauk i nikt się odeń już niczego rozumnego nie dowie – Pastor mówił z coraz większą serdecznością, niemalże czułością – tu dziecko niemalże, pawie oczko, zdawać by się mogło, pluska się w szampanie, a ono, niebożę, ostatniej w życiu zażywa kąpieli, tu ojciec rodziny, sędziwy teleskop, udaje młodzika i swawolnie nurkuje w żołądkowej gorzkiej...

Zapadła chwila ciszy. Pastor najpewniej kreślił coś w tekście kazania. Dziwne, pomyślał Kohoutek, skąd ludzie aż tyle wiedzą? Skąd, na przykład, Pastor tak dobrze zna się na alkoholu i na hodowli rybek akwaryjnych? Dziwne, choć nie takie dziwne – zreflektował się po chwili – bo przecież w końcu o to, jakie się rybki hoduje w akwarium, można zapytać, można zapytać kogoś, kto ma akwarium, wyjaśnił sobie kolejną zagadkę swego życia Kohoutek i poczuł bezmierną ulgę.

– Bracia i siostry! Pijanice! Opoje! Pijusy! – kazał dalej Pastor. – Jeśli nawet wydaje się wam, że zwiedziliście świat cały, mylicie się, nigdzieście nie byli, gorzałka bowiem unicestwia przestrzeń. Nie byliście na północy – byliście co najwyżej w północnej gospodzie. Nie byliście na południu – byliście w południowej gospodzie. Byliście we wschodniej gospodzie i w zachodniej gospodzie. Ale nie byliście ani na wschodzie ani na zachodzie. Nie byliście w ciepłych krajach, byliście w tamtejszych gospodach jedynie. Gospody świata są wszędzie jednakie, toteż objechaliście świat, choć w istocie nie ruszyliście z miejsca. Nie ma dla was przestrzeni i nie ma dla was czasu, kto tonie w kieliszku, dla tego czas przestaje istnieć. Widzicie go! – raptownie krzyknął Pastor i wszystkim się zdawało, że być może istotnie Pastor

dostrzegł kogoś cielesnego, ale był to jedynie wyrazisty chwyt retoryczny. – Widzicie go! Pijaka upadłego! Podnosi kieliszek! Czy on o czas pyta? Dzień minął – jemu się wydaje, że minęła sekunda. Miesiąc minął – jemu się wydaje, że minęła minuta. Rok minął – on sądzi, że przeszła godzina. Czas się go nie ima! Nie, czas go druzgocze! Wszakże minęło, jego zdaniem, parę godzin zaledwie, a przecież to połowa jego życia przeszła. I nie kryj gorzałki w samym sobie, bracie, nie konspiruj jej w swych wątych wnętrznościach. Niczego nie ukryjesz. Ona zaś, twoja siostra gorzałka, prędzej czy później pocznie występować z ciebie.

– Bracia i siostry! – Wśród siedzących za stołem domowników dało się odczuć niejakię odprężenie, ton głosu Pastora zwiastował bowiem, iż zmierzają do końca.

– Bracia i siostry. Apostoł Paweł powiada, abyście nie mieszały się ze wszetecznikami tego świata, abyście nie mieszały się z pijanicami, abyście z takowymi i nie jadały. A jakoż wy z pijanicami jadać nie będziecie, skoro wy pijanicami jesteście? Sami z sobą tedy jadać nie możecie, i co więcej, wy już sami z sobą nie jadać. Sami z sobą nie jadać, bo sami sobą nie jesteście. Przeto uczynicie tak, jak nakazuje Apostoł: uprzątnijcie tego złośnika z pośrodku samych siebie. Amen.

Kohoutek złożył ręce do modlitwy. Boże, szeptał, wewnątrz mnie siedzi cielesny złośnik, na zewnątrz zaś otaczają mnie ścisłym kręgiem wszechwiedzący i nieustannie perorujący mężczyźni oraz obdarzone diabelską intuicją kobiety. Boże, nie wzywam Twego imienia nadaremno – ale tak nie może być.

## XVI

– Była u mnie Oma. Skarżyła się na was wszystkich – aktualna kobieta Kohoutka spoglądała nań z wyrzutem. – Skarżyła się na twojego ojca, że jej zupełnie nie zauważa i traktuje jak powietrze. Skarżyła się na twoją matkę, że jej nie pozwala jeść tego, na co ona ma ochotę. Mówiła, że Pastor w kazaniach ciągle jej wytyka obżarstwo i opilstwo. Skarżyła się na córkę pani Wandzi, że za cicho gra na skrzypcach, a ona nieraz tak chętnie posłuchałaby muzyki. Biedna, biedna staruszka – w oczach aktualnej kobiety Kohoutka pojawiły się łzy. – Oma mówiła też, że Pastorowa w żadnym wypadku nie powinna obcinać włosów i że pani Wandzia nie powinna zmuszać swej córki do grania na skrzypcach, skoro dziewczyna nie chce. Miała pretensję do twojej żony – powiedziała z naciskiem aktualna kobieta Kohoutka – że ciągle siedzi z nosem w książkach i to w dodatku zagranicznych, jakby książki nie były zagraniczne, mogłaby jej przynajmniej coś od czasu do czasu poczytać. I na koniec mówiła, że ma żal do swojego męża, Pana Naczelnika, że jej nie broni przed wami wszystkimi.

Kohoutek, pomimo osłupienia, w jakim się znajdował, odczuł klasyczny niedosyt człowieka pominiętego.

– Do mnie nie miała żadnych pretensji? – zapytał.

– Raczej nie – powiedziała z pewnym wahaniem w głosie aktualna kobieta – raczej nie... wspomniała tylko, że się boi...

– Czego się boi?

– Trochę się boi, czy ty w końcu nie ożenisz się z katoliczką.

– Obrećz się zacieśnia – pomyślał zrozpaczony Kohoutek.

– Być może pewne szczegóły mylą się starszej pani, ale w końcu tu nie o szczegóły chodzi – aktualna kobieta Kohoutka mówiła teraz szybko i zdecydowanie – poza tym Oma wcale nie pytała, czy jestem katoliczką, w ogóle do mnie jedynej nie miała żadnych pretensji – dodała z nagłym triumfem w głosie. – Dziękowała mi i chwaliła mnie – ciągnęła aktualna kobieta Kohoutka. – Pomogłam jej wejść na górę, a ona mówiła, że nikt od dawna nie pomógł jej wchodzić po schodach. Poczęstowałam ją herbatą z termosu, a ona mówiła, że nie pamięta, kiedy ktoś jej zrobił herbatę. Przyniosłam mi kołacz i powiedziała, że niebawem przyniesie mi babkę drożdżową.

– Nie dziwiła się, że tu mieszkasz? – Kohoutek czuł, że jego racjonalne i proste pytanie jest w tej sytuacji frazą pełną absurdalnej udreki.

– Skądże! Pytała tylko, czy nie marznę. Mówiła, że w ostatniej izbie stoi puste żelazne łóżko i że jest tam dobry słomiany materac i ogromna pierzyna, i że powinieneś przynieść to wszystko tutaj, bo lada dzień przyjdą mrozy. Pytała też (ale przeprosiła za to pytanie, a ja, gdy odpowiadałam, na pewno się zarumieniłam), pytała też, gdzie chodzę za potrzebą...

– Tak – mruknął Kohoutek.

– Pokazałam jej, a ona powiedziała, że może lepszy byłby nocnik i że nocnik stoi w pralni, i że ty dobrze wiesz, o który nocnik chodzi, bo to był twój nocnik.

– Dobrze – powiedział Kohoutek – przyniosę ci mój nocnik.

– I łóżko, i siennik, i pierzynę.  
– Tak – rzekł cicho Kohoutek – przyniosę ci łóżko i siennik, i pierzynę.  
– Widzisz, Kohoutku – aktualna kobieta dotknęła jego dłoni – kiedy chcesz, potrafisz być wspaniały.

Przez chwilę siedziała rozpogodzona i uśmiechnięta, a potem powiedziała:

– W przyszłym tygodniu pójde do tutejszej szkoły i zapytam, czy nie potrzebują polonistki. W końcu powinnam zacząć rozglądać się za jakąś pracą. Nie chciałabym być ci ciężarem.

– Aha. To fantastyczne – odparł Kohoutek. – To fantastyczny pomysł.

– Kohoutku – aktualna kobieta Kohoutka była w niezwykle pogodnym nastroju, zdumiewająca wizyta Omy zdawała się ją niesłychanie wzmacniać duchowo. – Kohoutku, czy ty pamiętasz, jak myśmy się poznali?

– Pewnie, że pamiętam – odparł machinalnie Kohoutek – poznaliśmy się w autobusie pośpiesznym linii A. Czytałaś książkę, a ja usiadłem przed tobą i zapytałem, co czytasz.

– Pamiętasz, co ci odpowiedziałam?

– Tak, pamiętam, powiedziałaś, że czytasz Kunderę.

– Ale ty, Kohoutku – powiedziała łagodnie aktualna kobieta Kohoutka – nie wiedziałeś wtedy, czy Kundera to jest nazwisko autora czy tytuł książki, nie wiedziałeś, prawda?

Kohoutka ogarnęła złość.

– Nie wiedziałem – powiedział podniesionym głosem – i w gruncie rzeczy dalej nie wiem. Nie mam pojęcia o książkach, nie znam się na prozie, a jeśli idzie o poezję, to nie rozumiem nic doszczętnie. Jeśli idzie o poezję – powtórzył dobitnie i spojrzął jej prosto w oczy – nie rozumiem ani przecinka.

Aktualna kobieta skuliła się w sobie i opuściła głowę. Wydawało się, że dobry nastrój pierzchnął zupełnie.

Kiedyś w jej krakowskiej garsonierze, gdy zamierzali zjeść kolację i ona, jak zawsze, porządkowała zasłany książkami i papierami stół, luźna biała kartka sfrunęła na podłogę. Kohoutek podniósł ją odruchowo i obrócił w palcach. Na odwrocie widniało kilka linijek zapisanych jej charakterem pisma. Był to wiersz noszący niezrozumiały dla Kohoutka tytuł *Haiku*:

*Zeszyty pełne tajemnych zapisów*

*Atramentowa trawa*

*nad wielką przestrzenią*

*Ktoś idzie przez ciemność*

*Kogoś krew zalewa.*

Kohoutek przeczytał ten utwór, przeczytał raz i drugi, i pomimo, iż poczuł narastającą w sobie niejasność, o nic nie zapytał. W ogóle niczego nie uczynił. Zwłaszcza zaś, niczego złego nie uczynił. Ani nie zaśmiał się swym cienkim i przykrym chichotem, ani też nie nadał swym rysom szyderczego wyrazu. Stał nieruchomo i z pewnością żaden z jego przypadkowych i nieznamacalnych gestów nie był gestem wymierzonym przeciwko poezji. Ona wszakże rzuciła się nań z dzikością boleśnie obnażonego podmiotu lirycz-

nego, wyrwała mu kartkę z dłoni, podarła ją i jęła piorunować go najbardziej zabójczymi z repertuaru jej spojrzeń. Od tego momentu pięciowersowe, tajemnicze *Haiku* wyrosło pomiędzy nimi niczym mur nie do przebycia. Nigdy o tym nie rozmawiali, on nie miał pojęcia, czy był to jedyny jej wiersz, czy jeden z tysiąca przez nią napisanych, nie śmiał zapytać, ona niczego nie wyjaśniała. Jedynie od czasu do czasu, gdy czuł się przez nią szczególnie zraniony, wysilał się na jadowitą aluzję i podkreślał, że absolutnie, ale to absolutnie nie zna się na poezji.

Tym razem jednak po chwili milczenia aktualna kobieta Kohoutka postanowiła udać, iż nie dotarła do niej jego rytualna złośliwość.

– Tak, czytałam wtedy wydaną w samizdacie *Księgę śmiechu i zapomnienia* Milana Kundery. Kohoutku, mam tę książkę ze sobą i pozwolił, że przeczytam ci fragment. – I aktualna kobieta Kohoutka wydobyła z walizki oprawiony w gazetę, rozsypujący się tom i zaczęła czytać *Opowieść Petrarcki*. My, starzy wielbicielowie czeskiego pisarza, dobrze znamy ten fragment. Jest to chwila, w której w praskim klubie literackim spotykają się najwięksi poeci kraju. Kundera nadaje im imiona wielkich klasyków literatury światowej. Jest tam więc Goethe (stary poeta z trudem poruszający się o kulach), jest Wolter, Lermontow, Jesienin, Boccaccio. Jest też Petrarca, którego opowieść właśnie odczytuje Kohoutkowi jego aktualna kobieta. Petrarca opowiada o nieoczekiwanej wizycie, jaką złożyła mu późnym wieczorem pewna młoda poetka. Dodajmy na wszelki wypadek: młoda poetka nie była aktualną kobietą Petrarcki. Niemniej jednak Petrarca nie może jej przyjąć, piękna i zazdrosna żona Petrarcki jest w domu, zaś młoda poetka zachowuje się nieobliczalnie i tajemniczo. Nie chce przyjść kiedy indziej, ale też nie chce odejść. Nie daje się przegnać. „Muszę panu coś powiedzieć, muszę panu coś powiedzieć” – powtarza w koło. Potem długo stoi pod drzwiami, w końcu zaś żelaznym prętem tłucze szyby w oknach Petrarcki, przez ostatnie wybite okno wchodzi do środka i mówi doń: „Przyszłam, bo przygnała mnie tu miłość, przyszłam, żebyś poznał, co to jest prawdziwa miłość, żebyś raz w życiu jej doświadczył”.

A potem ta dziewczyna bierze za rękę piękną żonę Petrarcki i mówi: „Pani się na mnie nie gniewa, bo pani jest dobra i ja panią też kocham, oboje was kocham”.

Aktualna kobieta Kohoutka doczytała do końca fragment powieści, Kohoutek zaś natychmiast, gdy skończyła, nieopatrznie i z właściwą sobie literacką prostolinijnością zapytał:

– Czyżbyś miała zamiar żelaznym prętem wybijać okna w moim domu?

Aktualna kobieta podniosła nań swe piękne oczy, teraz przypominające barwą zamarzną rzekę (po której sunie jasna dębowa trumna) i powiedziała:

– O, naiwny Kohoutku, żelaznym prętem wybija się okna w domu Petrarcki albo Kundery, albo największego pisarza polskiego, o którego ty jesteś zazdrosny wcale nie platonicznie, jesteś oń zazdrosny jak zwierzę i masz świętą rację. W twoim domu, Kohoutku, nie rozbija się okien. Do twojego domu wchodzi się, by zostać w nim na zawsze.

## XVII

– Leczę się, kochany Kohoutku, gorzałką i aspiryną, przy czym nie będę przed tobą ukrywał: aspiryny zapominam niekiedy zażyć.

Oyermah siedział w fotelu, wprost na piżamę narzucony miał swój barani kozuch i wyglądał kiepsko. Jego rysy zaostrzyły się, parodniowy siwy zarost niesłychanie go postarzał i Kohoutek, prawdę powiedziawszy, po raz pierwszy spoglądał nań z niejakim lękiem.

– Może trzeba wezwać doktora – powiedział niepewnie.

– Kohoutku, jakbyś był uprzejmy, napal w piecu i nie osłabiaj mnie do szczętnie tego rodzaju propozycjami. Wiesz dobrze, że zarówno ty, jak i ja, jesteśmy takimi samymi doktorami jak znawcy ludzkich przypadłości. Sto tysięcy razy ci mówiłem, że pomiędzy człowiekiem a bydłem nie ma praktycznie żadnej różnicy. Jak powiada Eklezjasta – tu Oyermaha nawiedził tak potworny atak kaszlu, iż zdawać się mogło: nie będzie mu dane po raz stutysięczny i pierwszy wygłosić ulubionego cytatu. Ale chwila jeszcze nie nadeszła. Uspokoił się, pociągnął spory łyk przezroczystego płynu ze stojącej obok fotela szklanki, uniósł dłoń i swym zwykłym, donośnym głosem powiedział: – Jak powiada Eklezjasta: „Bo przypadek synów ludzkich i przypadek bydła jest przypadek jednaki. Jak umiera ono, tak umiera i ten, i ducha jednakiego wszyscy mają, a nie ma człowiek nic więcej nad bydło, bo wszystko jest marność.” I dalej powiada: „A któż wie, że duch synów ludzkich wstępuje w górę, a duch bydłocy że zstępuje pod ziemię?”

– Wie pan, mistrzu – Kohoutek czyścił z popiołu wielki, kaflowy piec – niekiedy wydaje mi się, że nas, lutrów, cechuje nadmierna i trochę bezkarna łatwość w ciągłym powoływaniu się na *Pismo*. A poza tym, szczerze powiem, pogubić się w tym można, to kim my w końcu jesteśmy – mędrkami, pastuszkami czy bydłętami?

Oyermah machnął niecierpliwie ręką.

– Nie lubię takich uogólnień. Z tego, że ja, Franciszek Józef Oyermah znam *Pismo* i powołuję się na nie, nie wynika, by pozostali nasi współpracownicy znali *Pismo*. Starzy ewangelicy owszem, znali *Biblię*, ale wszyscy starzy ewangelicy z wyjątkiem mnie pomarli. Dawniej! Ale dziś? – zasepił się doktor. – Jedną z bolesnych okoliczności mojego życia jest fakt, iż muszę – bezsilny – przypatrywać się tuż przed śmiercią, jak Kościół luterski zdominowany został przez, pozał się Boże, dewotki oraz takich niedołęgów teologicznych, jak – nie przymierzając – ty, Kohoutku.

Kohoutek milczał urażony, Oyermah zaś, domyślając się, jego urazy, perorował jak zwykle z ojcowską surowością.

– Nie ma się co obrażać. To w końcu ty w charakterystyczny zresztą dla ciebie mętny sposób przedstawiłeś mi ostatnio teorię, wedle której jedynym sposobem zbliżania się do Oblicza Pańskiego jest łamanie szóstego przykazania. Nawiasem mówiąc, jak wygląda sytuacja?

– Uległa zaostrzeniu – odparł Kohoutek i opowiedział Oyermahowi o niepojętej wizycie Omy na strychu starej rzeźni, o coraz większej ochocie jego aktualnej kobiety, by pozostać tu na zawsze, a także o rozmowie ze

swą przystojną żoną, która wprowadziła nie wprost i niejasno, dała mu jednak do zrozumienia, że poczyni kroki...

– Chyba się jej nie dziwisz – powiedział Oyermah kwaśno. – Chyba nie sądzisz, że tak piękna i tak wykształcona kobieta wytrwa u twego boku. Ona ani nie wytrwa, ani nie spełni twoich oczekiwań. Bo też było nie żenić się z tak przystojną i tak mądrą kobietą. Prawdziwej miłości, Kohoutku, należy szukać wśród cherlawych garbusek, ułomnych okularnic i nierozgarniętych sierotek.

– Kiedy wychodziła za mnie za męża, nie była ani tak piękna, ani tak rozumna. Uroda i mądrość przyszły jej z wiekiem – odparł Kohoutek.

– No tak – mruknął Oyermah – jak zwykle, trafił ci się najcięższy przypadek.

Kohoutek daremnie usiłował rozpalic naszykowane palenisko. Piec z ciemnoniebieskich kafli był wystudzony i kłęby dymu powoli wypełniały pokój.

– Otwórz okno – Oyermah szczelnie okrył się kożuchem. – Otwórz okno, nie ma lepszego zapachu niż zapach lodowatego jesiennego powietrza zmieszany z zapachem pierwszego dymu powoli rozgrzewającego się pieca.

Ale rzecz w tym, Kohoutku, że ty w ogóle masz fatalną skłonność – ciągnął doktor – do przystojnych i wykształconych kobiet. Choćby osoba, która jest przedmiotem naszej dysputy, ta, z którą nie wiadomo co począć, ta, która złożyła ci niezapowiedzianą wizytę – Oyermah zaśmiał się rozbawiony własną myślą – tak, złożyła ci niezapowiedzianą wizytę, zupełnie jak to zwykli czynić swego czasu nasi bolszewicki przywódcy.

– Oni wizytowali zakłady pracy znienacka, ale na krótko – powiedział Kohoutek wyraźnie zde gustowany porównaniem.

– Dobrze. Chcę powiedzieć tylko, że ona nadmiernie grzeszy urodą czy raczej osobliwym wdziękiem. Te lekko asymetryczne rysy, boski zarys czaszki, niesłychana fryzura... Zwróć uwagę, Kohoutku, że twoja aktualna kobieta z przeciętnej w gruncie rzeczy owłosienia typowej szatynki potrafiła uczynić zatrważającą pod względem dekadencji fryzurę. Ach – zachłystywał się Oyermah – ten jej lekki zez, te jej lekko iksowate nogi...

– Właściwie skąd pan wie, że ona ma lekko iksowate nogi? – Kohoutek wyprostował się nagle, w palenisku jęły pełgać wreszcie pierwsze blade płomyki.

– Kobieta, która ma tak niepowtarzalne oblicze, musi mieć lekko iksowate nogi – odparł stanowczo Oyermah. I dodał – Wszystko zresztą jedno, jakie ma nogi, nas interesują powody, dla których ona na swoich lekko, a może i nielekkowatych nogach postanowiła (dźwigając walizkę pełną książek i plecak z resztą dobytku) przydreptać do twego domu i pozostać na zawsze.

Ku najwyższemu zdumieniu Kohoutka Oyermah wydobyl z kieszeni złożoną na czworo, wyrwaną z zeszytu kartkę, rozłożył ją, sięgnął po okulary i uważnie wpatrywał się w poczynione tam zapiski.

– Groza – pomyślał Kohoutek – groza, stary ma przygotowane notatki do swego wystąpienia. Groza. Nie wyjdę stąd nigdy.

Nagle kartka w dłoniach Oyermaha poczęła drzeć, on sam raz i drugi ciężko westchnął, krople tłustego potu pojawiły się na jego czole. Doktor



dziwnie powolnym i bezradnym ruchem położył notatki na kolanach, zdjął okulary i kołnierzem piżamy otarł pot z czoła.

– Kiepsko ze mną, Kohoutku – powiedział cicho. – Bardzo kiepsko. Ciężko mi cię będzie zostawić, wierz mi, ciężko, ale musisz się z tym liczyć. – Sięgnął po szklankę i podtrzymując ją obiema nagle osłabłymi dłońmi podniósł do ust.

– Mistrzu – zapytał Kohoutek łagodnie – czy pan jest pewien, że to właściwe lekarstwo?

– Gdy nadchodzi twój czas, nie ma właściwych ani niewłaściwych lekarstw – Oyermah wypił znaczną ilość znajdującego się w szklance trunku. – A mój czas nadchodzi, właściwie już nadszedł. Tej nocy znów śniła mi się Akiko. Ile razy śni mi się ta skośnooka suczka, nie wróży to nic dobrego. Ostatnio zaś śni mi się całymi nocami i codziennie. Podobnie jak twoja aktualna kobieta, nie chce opuścić mężczyzny swego życia. – Oyermah najwyraźniej znów się lepiej poczuł.

– Wróćmy do przedmiotu – powiedział tym razem jakby nieco sztucznie ożywionym głosem. Znów podniósł kartkę, znów nałożył okulary i niczym wytrawny wykładowca jął referować problem.

– Możliwości, dla których twoja aktualna kobieta uczyniła to, co uczyniła, są liczne i następujące. Być może uczyniła to, ponieważ pragnie zmusić cię do podjęcia ostatecznej decyzji, do powiedzenia tak lub nie, do zajęcia realnego stanowiska. W takim wypadku jej przybycie byłoby szantażem, w każdym razie rodzajem szantażu. Być może, przybyła powodowana szaleńczą damską miłością, a być może damskim okrucieństwem. Być może przybyła tu nie z własnej woli – Oyermah mówił śmiertelnie poważnie – ale, być może, przywiódł ją ten sam demon, który swego czasu przysłał po was żółtą wołgę. Jaki to demon? Kto wie? Demon szantażu? Demon miłości? Demon okrucieństwa? A może wszystko jest o wiele prostsze, może postanowiła ci złożyć niezapowiedzianą wizytę, ponieważ jest zwyczajną nieobliczalną panienką?

– Albo jest zwyczajna, albo nieobliczalna – powiedział Kohoutek.

– W najmłodszych pokoleniach jest tyle nieobliczalnych panienek, że stanowią one zwyczajną większość. Tak mnie staremu piernikowi, nieraz się wydaje – Oyermah przez chwilę patrzył na rażno buzujące płomienie, okna były już zamknięte i w pokoju robiło się coraz cieplej.

– Czym ona się zajmuje? – zapytał po chwili – Polonistka?

– Tak, w tym roku skończyła polonistykę – powiedział Kohoutek z ociąganiem, ponieważ w gruncie rzeczy, jeśli idzie o swą aktualną kobietę, niczego nie był do końca pewien.

– Z Krakowa rodem?

– Nie. W Krakowie wynajmuje, wynajmowała – poprawił się z sarkazmem Kohoutek – pokój. A pochodzi z Ostrowca Świętokrzyskiego. Z Ostrowca czy spod Ostrowca – nie wiem dokładnie.

– A jeśli wolno wiedzieć – indagował dalej Oyermah – jak brzmi nazwisko twojej *femme fatale* z Ostrowca Świętokrzyskiego?

– Kotkowska. Justyna Kotkowska.

Oyermah zamyślił się głęboko, mogło się wręcz wydawać, że zapadł się w sobie, że nawiedziła go kolejna chwila słabości, ale on myślał gorączko-

wo, usiłował sobie coś przypomnieć. Za oknami powoli robiło się ciemno. W niebieskim piecu huczał wiekuisty ogień.

Oyermah spojrział na Kohoutka uważnie, a nawet jakby z pewnym napięciem.

– Słuchaj, czy ona przypadkiem nie mówiła ci, że jest krewną albo powinowatą Gombrowicza?

– Owszem, kiedyś wspominała, że gdyby się uparła, mogłaby się doszukać pokrewieństwa pomiędzy sobą... – Kohoutek zawahał się – w każdym razie wtedy padło to nazwisko.

– Sytuacja robi się groźna – mruknął Oyermah. Znów zamilkł, uniósł głowę i przez chwilę patrzył na wiszącą na ścianie reprodukcję „Ostatniej Wieczery”.

– Sytuacja robi się groźna – powtórzył. – Jeśli twoja aktualna kobieta uważa się za kuzynkę Gombrowicza, sytuacja jest groźna, ale ja stanowczo odrzucam hipotezę, iż przybyła ona do ciebie, wiedziona jakimiś niejasnymi literackimi powodami. Odrzucam tę hipotezę – Oyermah mówił tonem rzadkiej u niego bagatelnej nonszalancji – odrzucam ją, ponieważ niczego ona nie rozwiązuje. Podobnie jak odrzucam chodzące ci od dawna po głowie przypuszczenie, iż jest ona zesłaną na ciebie karą boską za twoje występki. Wiem, że od początku gnębi cię ta żalosna idea, ale wstydzisz się ją przy mnie wypowiedzieć i wstydząc się postępujesz słusznie.

– Dobrze – szepnął do siebie w duchu Kohoutek – dobrze, stary kabotyńie, wiesz o mnie wszystko, ale ja w końcu też wiem o tobie to i owo. Zaraz wygłosisz wielką tyradę o damskim okrucieństwie, a potem po raz tysięczny opowiesz mi historię o Akiko.

– Mam nadzieję – powiedział Oyermah, iż domyślasz się, jakie jest moje zdanie. Otóż, moim zdaniem, przygnało ją do ciebie zwyczajne damskie okrucieństwo. Niestety, nie mam siły – Oyermah wypił resztkę znajdującej się jeszcze w szklance gorzałki – nie mam siły przypominać ci mojej teorii o okrucieństwie kobiet. Opowiem ci jedynie historię o Akiko. Przedtem jednak prosiłbym cię, byś był łaskaw wykonać następujące czynności: zrób mi herbatę, sobie, rzecz jasna, również zrób, nalej mi gorzałki, sobie, rzecz jasna, również nalej, butelka stoi w kredensie, oraz przynieś mi z apteczki dwie aspiryny.

## XVIII

– Jak wiesz, Kohoutku, historia ta dzieje się tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej w Londynie, w pensjonacie „Luisendorf”. Biorą w niej udział trzy osoby: przepiękna młoda Japonka o imieniu Akiko, pewien obmierzły eseista brytyjski o pałającym spojrzeniu oraz ja, Franciszek Józef Oyermah. Jest upalne lato, całymi dniami doskonałą swą wiedzę teoretyczną i uczę się języka, wieczorami zaś zaznaję udręk hotelowej samotności. W pokoju naprzeciwko mnie...

– Przepraszam, mistrzu – powiedział Kohoutek – ale wydaje mi się, że ktoś puka do drzwi.

Oyermah zamilkł i po chwili, istotnie, rozległo się delikatne stukanie.

– Kohoutku, idź i zobacz, jeśli już kołacze moja ukochana Józefina, albo sama Egzekucja Kościej, albo jakiś inny delegat ciemności, poinformuj, że moim ostatnim życzeniem jest raz jeszcze opowiedzieć historię o Akiko...

– Mam wrażenie, doktorze, że to raczej pojawiło się samo życie w swym nieodgadnionym kształcie...

– Ach tak – Oyermah w lot pojął sytuację – jak tu trafiła?

– Zna na wylot całą miejscowość z moich opowieści. Mam nieznośnie sentymentalny zwyczaj opowiadania swoim aktualnym kobietom o ziemi cieszyńskiej.

– Dobrze. Umysłowo wasza sytuacja jest i tak nie do rozwiązania, więc dalsze dociekania nie miałyby sensu. Udzielę wam co najwyżej pewnej praktycznej porady oraz dokończę historię o Akiko, w wersji ocenzurowanej ze względu na obecność damy. Przyjmij ją, ja się przebiorę.

Aktualna kobieta Kohoutka miała na sobie granatowy płaszcz, w którym przyjechała, jej boską czaszkę zaś okrywał filuterny kapelusik. Weszła do pokoju i z natarczywą ciekawością gapiła się na ogromny tapczan, na stojące przy nim radio Pionier, na fotel o zgniłozielonym obiciu, na pianino, kafflowy piec, którego drzwiczki rozżarzały się powoli do czerwoności, na stojący pośrodku, przykryty żółtą serwetą stół. Podeszła do okna i spojrzała na migocące w ciemności światła.

– Podoba mi się tutaj – powiedziała półgłosem – coraz bardziej mi się tutaj podoba.

– Tak – pomyślał Kohoutek – ona nie przyjechała tu z mojego powodu, ona przyjechała tutaj, ponieważ jest to miejscowość atrakcyjna pod względem widokowym. Podoba się jej tutaj. Chce tutaj spędzić życie. Wczoraj poznała Omę, zaraz pozna Oyermaha, stopniowo będzie poznawać innych ewangelików augsburskich. Być może, pozna pozostałych moich krewnych i znajomych. Zacznie pracować w szkole. Znajdzie sobie mieszkanie. W końcu nie jest wykluczone, że zamieszka ze mną pod jednym dachem. I przestanie być moją aktualną kobietą. Być może nawet już nią nie jest.

Pokój wypełniła dusząca woń wody kolońskiej Wars. Doktor Franciszek Józef Oyermah stanął w drzwiach. Był starannie ogolony i uczesany. Przebrał się w czarne spodnie, niebieską koszulę i marynarkę z brudnożółtego grubego tweedu. Pod szyją zawiązał bordowy fular.

– Błazen – szepnął do siebie Kohoutek. – Stary błazen. Ale gdy po chwili uważniej przyjrzał się Oyermahowi, kolejny raz tego wieczoru przeraził się nie na żarty. Widać było, że zmiana stroju i pobieżna, choć, istotnie, dokonana w oszalałym tempie toaleta, były to czynności daleko przerastające siły starca. Był blady jak śnieg, ciężko dyszał, a w gruncie rzeczy szmatycznie otwierał usta, daremnie usiłując złapać haust powietrza. Zachwiał się i złapał za framugę drzwi. Podbiegli doń, wzięli pod rękę i zaprowadzili do fotela. Aktualna kobieta Kohoutka zdjęła płaszcz i z nadzwyczajną skrętnością i opiekuńczością zajęła się Oyermahem. W pewnym wszakże sensie wszystkie jej działania – rozluźnianie fularu, ocieranie potu z czoła, mierzenie tętna – były daremne, ponieważ Oyermah, gdy tylko udało mu się złapać oddech, postanowił uczcić ten fakt kolejnym łykiem gorzałki, po którym – rzecz jasna – poczuł się lepiej.

– Przepraszam – powiedział spokojnie – za niezbyt udane *entrée*.

– To ja przepraszam za niespodziewane najście, ale, jak pan doktor wie, niespodziewane najścia są poniekąd moją specjalnością – w głosie aktualnej kobiety Kohoutka nie było cienia kokieterii.

– Doskonale – odparł Oyermah. – Właśnie radzimy z moim przyjacielem Kohoutkiem, co począć. Ja, niestety, niewiele mogę pomóc. Póki nie podejmiecie zasadniczych decyzji, można dbać jedynie o szczegóły. Ważnym szczegółem może być fakt, że, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, a nie zawodzi mnie na pewno, na strychu starej rzeźni świętej pamięci Emiliana, niech mu ziemia lekką będzie, istnieje też tylne wyjście.

Kohoutek nigdy nie słyszał ani nie widział drugiego sekretnego dojścia na strych, ale też poczuł nagle, że bardzo mało go to obchodzi.

– Tak – ciągnął z zapalem Oyermah – w drugim pomieszczeniu, nie w tym, w którym znajduje się dobrze wam znana kolekcja kartonów, ale w drugim, w tym, w którym na środku piętrzy się piramida trocin, w kącie zaś stoi skamieniała, pamiętająca stalinowskie czasy sterta siana.

Aktualna kobieta Kohoutka zarumieniła się nie wiadomo dlaczego i opuściła głowę.

– Właśnie za tą górą trawy skoszonej jeszcze za życia Josifa Wissarionowicza trzeba szukać. Powinien tam też być kołowrót z okrętową liną. Używaliśmy tego sprzętu wiele razy. Wiele – w głosie Oyermaha zabrzmiała nostalgiczna nuta – bardzo wiele razy. Tyle, że nie nuciliśmy marynarskich pieśni, lecz pracowaliśmy w najgłębszym milczeniu. Z punktu widzenia naszych ostatnich okupantów większość dokonywanych w starej rzeźni świętej pamięci Emiliana zabiegów była nielegalna i karalna. Ba, za niektóre przedsięwzięcia mogliśmy w odpowiednim czasie zapłacić gardłem. Toteż w ciągu ostatniego półwiecza do perfekcji opanowaliśmy sztukę konspiracyjnego zarzynania świń, partyzanckiego parcelowania tusz, podziemnego wyrobu kielbasy. Po okrętowej linie wspinaliśmy się nocą do starannie zaciemnionej i przez to dusznej jak piekło rzeźni, przy pomocy okrętowej liny windowaliśmy na górę ogłuszone zwierzęta. Śnieg lśnił jak niebiosa a wokół rzekomo nieczynnej, w istocie zaś wrzącej życiem masarni świętej pamięci Emiliana uwijały się nasze cienie...

Oyermah nagle przerwał, gdyż instynkt starego gawędziarza podpowiedział mu, iż uwaga słuchaczy jest rozproszona. Aktualna kobieta Kohoutka

dalej siedziała ze spuszczoną głową, jej figlarny kapelusik, zdawać się mogło, lada chwila ześlizgnie się z jej boskiej czaszki.

– Od kiedy tu weszła, nie spojrzała na mnie ani razu – pomyślał Kohoutek. – Nie myślę się, postanowiła wziąć swój los w swoje ręce.

– Panie doktorze, czy mógłby mi pan wynająć pokój? – zapytała cicho aktualna kobieta Kohoutka.

Oyermah westchnął ciężko.

– Dziecko drogie – powiedział – daruj mi, ale nie mogę. Myślałem o tej ewentualności od samego początku, ale nie mogę.

– Do mnie nikt, absolutnie nikt, nie będzie przychodził – wyszeptała spazmatycznie – zajmę się domem i będę gotowała obiady.

– Nie – rzekł twardo Oyermah. – Nie o to chodzi, czy ktoś do pani będzie przychodził, czy nie. Fakt, że pewna historia zmierza do osobliwego końca, sam przed chwilą zrozumiałem. Powody są inne. A raczej powód jest jeden. Otóż ja niebawem umrę. Nie wiem, czy Kohoutek pani opowiadał, że zgodnie z miejscowymi obyczajami wypada uczynić to, zanim spadną śniegi i nastaną mrozy. Został mi może jeszcze tydzień, może parę dni. – Oyermah mówił lodowatym, nie znoszącym sprzeciwu głosem człowieka, który wie, iż mówi niezbitym prawdę. – Nie chcę, żeby pani była przy tym, jak będę konał, i nie chcę, żeby potem została tu pani sama. Moi dalecy krewni rozszarpaliby panią na strzępy jeszcze przed pogrzebem. Tak, wybieram się na tamten świat, wiem o tym dobrze i to jest argument wystarczający, że nie wspomnę o argumentie pomniejszej wagi, takim jak na przykład duch nieboszczki Józefiny. Cóż by on na to powiedział, duch mojej ukochanej Józefiny, nie byłby on kontent, być może nawet dręczyłby panią nocami. – Oyermah nagle zachichotał złowieszczo.

– Panie doktorze, mam w takim razie inną prośbę – powiedziała aktualna kobieta Kohoutka.

– Proszę?

– Czy mogę w pańskiej łazience umyć sobie głowę?

– Doskonale – odparł Oyermah. W szafie w przedpokoju znajdzie pani czysty ręcznik, jeśli zaś idzie o szampony, to dysponuję jedynie tatarochmielowym.

Dobrą chwilę siedzieli w milczeniu. Gdy z łazienki zaczął dochodzić szum wody, Oyermah ruchem głowy wskazał Kohoutkowi puste szklanki. Potem wypili po miarce i Oyermah powiedział sentencjonalnie: – Idea stopniowego udoskonalania strychu starej rzeźni i powolnego przekształcania go w dom z prawdziwego zdarzenia runęła równie nagle jak powstała.

– Co nie zmienia faktu, że szaleństwo trwa nadal. Żadna normalna kobieta by tu nie przyjechała – Kohoutek wciąż zdawał się nie pojmować psychologicznego prostactwa swych argumentów – a jakby już przyjechała, to niewątpliwie po pewnym czasie, a już z pewnością po zakończeniu historii by wyjechała. Ona zaś zostaje.

– Tak, ona zostaje, ty wyjeżdżasz, świat w myśl bezwzględnych reguł damskiego okrucieństwa zostaje postawiony na głowie. Na czym to ja skończyłem?

– „W pokoju naprzeciwko mnie...”

## XIX

W pokoju naprzeciwko mnie – Oyermah nie czekał ani sekundy – mieszka postać tajemnicza, podejrzana i obleśna. Wysoki, barczysty mężczyzna mojej mniej więcej postury, w nie dającym się określić wieku. Być może ma trzydzieści, być może pięćdziesiąt lat. Okulary w złotej oprawce. Na maleńkiej jak orzeszek główce burza tłustych włosów. Pomimo niesłychanych upałów, chodzi zawsze w podniszczonym jesiennym palcie z kapturem. Chodzi? Przesada, słowo niewłaściwie użyte i w złym postawione miejscu. Ten człowiek praktycznie nie opuszcza pokoju. Co parę dni wymyka się ze swej nory na kilkanaście minut, najwyraźniej celem uczynienia jakichś – sądząc po zawiniątku, które kurczowo ściska za pazuchą – nadzwyczaj nikczemnych zakupów. Dwa, trzy razy mijam go na hotelowym korytarzu, nie odpowiada na mój ukłon, jedynie jego ukryte za okularami w złotej oprawce małe, świdrujące, płomienne oczka przeszywają mnie na wskroś. Tak. On nie wychodzi z pokoju, natomiast ona przychodzi doń codziennie i to nie raz, nie dwa, ale kilka razy dziennie. Jest tak niepojęcie piękna, że prawdziwie wydaje się istotą nie z tego świata. Jak na Japonkę niezwykle wysoka. Odziana po europejsku, zawsze w letnich ale ciemnych sukienkach. Gdy niekiedy godzinę, niekiedy dłużej czeka pod jego drzwiami, czuję, jak z wolna narkotyczny zapach jej ciała zaczyna wypełniać mój pokój. Rzecz w tym, że on jej nie wpuszcza do środka, nie chce jej przyjmować, to znaczy niekiedy łaskawie pozwala jej wejść i zostać, ale zawsze odbywa się to po jakichś długotrwałych negocjacjach, rozpaczliwych obietnicach, po jej wielogodzinnych wyczekiwaniach. Z korytarza wciąż dochodzą odgłosy daremnego kołatania, burzliwych rozmów, jego zniecierpliwiony falsecik, jej błagalny szept. Najbardziej dramatyczne sytuacje bywają, gdy każe jej czekać. Ona wtedy po prostu stoi pod jego drzwiami. Słyszę szelest jej sukienki, słyszę jej oddech, duszę się jej zapachem. Niekiedy czeka na audiencję kilka godzin, wówczas schodzi na dół i siada w fotelu w hotelowym holu. Sytuacja zaczyna mnie piekielnie intrygować, toteż czynię dyskretny wywiad wśród służby. Nikt nic nie wie lub nie chce powiedzieć. W końcu fertyczna pokojówka imieniem Caroline, która, nawiasem mówiąc, owszem tak, Kohoutku – w największym sekrecie informuje mnie, iż mieszkające naprzeciw indywiduum to wybitny eseista brytyjski, który tutaj właśnie, w pensjonacie „Luisendorf” kończy pisać swą książkę o malarstwie prerafaelickim. Kim jest Japonka i jakie łączą ich stosunki – nie wiadomo. O elementarną naturę ich związku nie musiałem zresztą wypytywać. Obmierzły brytyjski eseista, pomimo nawału pracy, kilkakroć wszakże zgodził się przenocować swego tak najwyraźniej dlań uciążliwego gościa.

Rytualne kołatanie do jego drzwi budzi mnie pewnej nocy. Leżę w pościeli i słucham. Ona jak zwykle błaga, by ją wpuścił, tym razem jednak jej szept jest szczególnie rozpaczliwy, stuka w jego drzwi z jakąś specjalną gorączkowością, cisza, jaka jej odpowiada, jest tym bardziej przejmująca. Wstaję z łóżka, wkładam szlafrok, zapalam papierosa. Patrzę na zegarek – dwadzieścia po drugiej. Pół godziny krązę po swoim pokoju, palę, wypijam

dwie szklanki whisky, przez ten czas z korytarza dochodzi mnie jej coraz dramatyczniejszy proszalny szloch. W końcu cisza. Nagła, piorunująca cisza. Wiem, że ani ona nie odeszła, ani on nie wpuścił jej do środka. Słyszałbym to. Byłem wtedy prawdziwym wirtuozem słuchu, moje wszechwiedzące uszy wiedziały o tych dwojgu wszystko. Cisza, rozpaczliwa cisza. Odległy, ciemny dźwięk syreny płynącego Tamizą holownika i dalej cisza. Potworna, zwiastująca zbrodnię cisza. W końcu decyduję się i uchylam drzwi. Japonka siedzi na podłodze, opiera się o ścianę i śpi. Na jej boskich policzkach ślady wysychających łez.

Był to widok niepojęty i druzgoczący w swym uroku. Kobieta siedząca na podłodze? Przed wojną? Japonka? Nocą w londyńskim hotelu „Luisendorf”? Epoka kobiet siadających na podłodze miała nadejść za kilkadziesiąt lat! Akiko wyprzedziła swe czasy co najmniej o ćwierć wieku. Zbliżyłem się do niej i delikatnie dotknąłem jej ramienia. Otworzyła oczy i natychmiast zaczęła mówić. Przepraszała za hałas, coś jeszcze tłumaczyła, czego nie rozumiałem, mówiła wprawdzie po angielsku, ale z typowo, że tak powiem, samurajskim akcentem. Poza tym płakała, prawie natychmiast zaczęła płakać, wskazywała na drzwi brytyjskiego eseisty i znów szlochała jak dziecko. W końcu nie musiałem rozumieć co mówi – znałem sytuację na wylot. Energicznie zastukałem do drzwi eseisty. Ku memu zdumieniu otwarł prawie natychmiast. Miał na sobie potwornie brudną koszulę nocną, z wnętrza jego pokoju zaś buchał nieznośny fetor rękopisów. Chłodno, ale, trzeba powiedzieć, uprzejmie, poprosił, by nie przerywać mu spoczynku, wyjaśnił, że nie odpowiada za wybryki młodej japońskiej lady i już chciał zamknąć drzwi, gdy ona dosłownie wybuchnęła. Krzyczała, mówiła niewyraźnie, nie dbała o akcent, ale ja, Kohoutku, tym razem rozumiałem wszystko, rozumiałem każde zdanie i każde słowo, i chłonałem je z niewypowiedzianą rozkoszą. Mówiła, iż widzi ją ostatni raz w życiu, iż jest kłownem, szubrawcem i grafomanem, że to definitywny koniec, że nawet nim nie gardzi ani go nie nienawidzi, że jest jej po prostu obojętny jak nic. Jak wszystkie piękne kobiety, które furia wyzwała z kajdan kokieterii, Akiko była w swej furii olśniewająca. Krucze, gęste i grube jak grafit włosy opadły jej na czoło, pobladła, w jej ciemnych oczach płonął pożar. Cień popłochu, zakłopotania, a może osobliwego uśmiechu przemknął po twarzy eseisty i powoli, bez słowa, zamknął on drzwi. Akiko stała bezradnie na środku korytarza, ja zaś, dając się nieść niestyłchanemu biegowi wypadków, uczyniłem rzecz, której w normalnych okolicznościach ani wtedy, ani wcześniej, ani później nigdy bym nie uczynił – zaproponowałem jej, mianowicie, aby weszła do mojego pokoju, napiła się czegoś i ochłonięła. I ona bez cienia namysłu przyjęła moje zaproszenie.

Kohoutku, nastały najpiękniejsze godziny mojego życia. Już po kwadransie byliśmy parą starych, od lat znających się przyjaciół. Po godzinie planowaliśmy wspólne życie. Akiko zdjęła sandały, na podwiniętych nogach siedziała w fotelu, piła whisky i jak szalona śmiała się z każdego mojego słowa. Potem uczyła mnie japońskiego. Na kartce papieru pisała czy może raczej rysowała japoński tajemny alfabet, tłumaczyła na angielski, uczyła japońskiej wymowy. Boże, jak ja gorliwie, z jakim zapałem powtarzałem każdy z tych osobliwych dźwięków, tak gorliwie, że do dziś pamiętam je wszystkie. Mieliśmy przecież nazajutrz jechać na *hingaszi* – Wschód,

nasz *uczi* – dom – miał stać nad *kała* – rzeką, w cieniu *jama* – góry, nocami, nad dachem naszego *uczi* miał zawsze świecić *oki* – księżyc, jej *kokoro* – serce – należało do mnie, łączyła nas *aj* – miłość i naszą *aj* miał błogosławić sam *kamisama* – Bóg. Potem ja próbowałem pisać, czy też rysować; gdy się myliłem, brała mnie delikatnie za rękę i prowadziła jak dziecko ciemnymi szlakami hieroglifów.

Powiedziała, że jest głodna. Zrobiłem jej jajecznicę. Okazuje się, że w czasie smażenia jajecznicy można przeżyć najwyższe duchowe uniesienia. Wyobraź sobie tę scenę, Kohoutku: na maszynie spirytusowej smażę jajecznicę, obok mnie stoi piękna Akiko i cały czas opiera swą dłoń na moim ramieniu, jak gdyby bała się, że umknę czy zniknę, ja cały czas zerkam na nią, wciąż się upewniam, czy aby ona naprawdę jest i istnieje. A ona jest i istnieje, ponieważ łakomie je jajecznicę. Potem, dziwnie nieporadnie, nie wyjmując łyżeczki z filiżanki pije herbatę. Łyżeczka wpijająca się w jej policzek, okruszyna chleba w kąciku ust są to niezbite, konieczne i wystarczające dowody jej istnienia. Robi się senna. Idzie do łazienki, ja szykuję dla niej posłanie. Wraca. Wiesza swoją cienką sukienkę w szafie, obejmuje mnie za szyję z całych sił. Dotykam jej i nagle czuję – niczym podmuch lodowatego powietrza – promieniującą z niej czarną rozpacz. Każde jej ścięgnię, każdy mięsień, jej krew, jej kości, jej serce, wszystko przeniknięte jest czarnym szronem rozpacz. Wszystko, co ta kobieta czyni, czyni z rozpacz. Każdy jej nieobliczalny krok powodowany jest dogłębną rozpaczą. Z rozpacz szturmuje drzwi obmierzłego brytyjskiego eseisty (nie rozmawiamy o nim w ogóle, nie pada ani jedno słowo na ten temat, on po prostu, zamknąwszy się w swoim pokoju, przestał istnieć), z rozpacz kogoś porzuciła (męża? narzeczonego? – domyślam się z jej niejasnych aluzji), z rozpacz znalazła się w moich ramionach.

Kładzie się do łóżka i natychmiast zasypia raptownym snem dziecka. Siedzę nieruchomo w fotelu i wypełniają mnie pełne szlachetności wizje i nacechowane uniesieniem sceny, w których koję jej rozpacz. Gapię się na jej kruche, nagie ramiona i czuję, że zaczynam głupieć, głupieć ze szczęścia. Robi się coraz widniej, a mnie się wydaje, że to złocista poświata jej skóry wypełnia pokój. Akiko budzi się, uśmiecha, ubiera w niezwykle pośpiechu. Ustaliliśmy, że jak najrychlej wyniesiemy się z tego pensjonatu, więc ona teraz ubierze się i pójdzie po swoje rzeczy (gdzie? jakie rzeczy? nie mam pojęcia!), ja tymczasem się spakuję i będę czekał na nią na dole w holu. Jest już ubrana i zupełnie mnie nie dziwi, że wychodzi prawie bez pożegnania, zaraz przecież wróci. Dziwi mnie natomiast, i to bardzo, dobrze znajome kołatanie, które zaczyna się natychmiast rozlegać na korytarzu. Tym razem nie kołacze długo, szcęk zamka, drzwi się otwierają, drzwi się zamykają, Akiko znika na zawsze. Akiko przestaje istnieć.

Oyermah zamilknął na chwilę. Aktualna kobieta Kohoutka wróciła z łazienki, stanęła przy piecu, czesała się i suszyła włosy.

– Tak. Przestała istnieć – powtórzył Oyermah – od tego czasu ta japońska latawica przychodzi do mnie tylko we śnie i ilekroć ją widzę, tylekroć truchleję, bo zawsze jest posłanniczką złych wieści. Jestem pewien, że nie żyje i to od bardzo dawna. Ona już wtedy była ledwo żywa z rozpacz. Jeśli niebawem nie popełniła samobójstwa, to zwyczajnie szczyła z udreki. Nie mogę o niej zapomnieć i nie potrafię jej wybaczyć. O, okrutna Akiko – wes-



tchnął. – Obiecywałaś, że spędzisz ze mną całe życie, a chciałaś jedynie poczekać do rana, gdy uchylą się przed tobą niedostępne podwoje. Choć kto wie, czasami myślę, że może ona wtedy, planując ze mną wspólne życie w naszym wspólnym *uczi*, wierzyła w to święcie?

Rzecz jasna, tego samego dnia opuściłem hotel, następnego dnia Londyn, w ciągu tygodnia wróciłem do Polski. Oprócz złowróżbnych snów z Akiko przywozłem ze sobą osobliwą manię, by wszystkim tutejszym zwierzętom nadawać anglosaskie imiona. W sam raz zdążyłem na wybuch drugiej wojny światowej. Można w zasadzie powiedzieć, że wszystko skończyło się wielkim *uarau* – śmiechem.

## Epilog

Kohoutek wyjeżdża. Na jak długo? Kto wie? Kohoutkowi wydaje się, że wyjeżdża na zawsze. Jak zwykle: serdecznie wierzy we własne złudzenia. Pakuje się, chyłkiem przemyka przez ogród, który był kiedyś dziedzińcem wielkiej rzeźni i boczną drogą wzdłuż rzeki idzie na dworzec. Gdyby ktoś pisał o mnie książkę – myśli Kohoutek – mógłby zacząć tak: Gdy w roku pańskim 1990 doktor weterynarii Paweł Kohoutek ujrzał siedzącą za stołem w jadalni swą aktualną kobietę, pomyślał, że umrze. W każdym razie – myśli Kohoutek – nie przeżyłbym tego, może bym nie umarł, ale też bym nie przeżył. Akurat – na Kohoutka spływa nagła furia – akurat bym umarł, maluczko a kolejny raz sam sobie uwierzę. Nie umarłbym – sfajdałbym się ze strachu. Gdy w roku pańskim 1990 doktor weterynarii Paweł Kohoutek ujrzał siedzącą za stołem w jadalni swą aktualną kobietę, sfajdał się ze strachu. Tak brzmi znacznie lepiej, pełniej i wiarygodniej. Chyba nawet jej, koneserce fraz literackich, spodobałoby się takie zdanie. Swoją drogą co lepsze: sfajdać się czy umrzeć? Lepiej umrzeć, bo kto umrze, ten już się nie sfajda, a kto się sfajda, ten i tak umrze. Najlepiej zaś uczynić to, co ja czynię: uciec, zanim człowiek się sfajda i zanim umrze.

Uciec, zanim ona usiądzie za stołem w jadalni. Uciec, zanim zacznie rozmawiać z moją żoną, dzieckiem, matką. Uciec, zanim się wprowadzi do pokoju opuszczonego nagle przez panią Wandzię i matkę pani Wandzi. I to jak nagle! Z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Z niejasnych, niewyjaśnionych i niezrozumiałych powodów.

Kohoutkowi żal pani Wandzi, w końcu należała do wielkiego zespołu instrumentalistek ludzkości. Wieczny grymas bólu czy niesmaku nigdy nie zniknął z jej lisiej twarzyczki, nie zniknął nawet wtedy, gdy grała Schuberta. Ale mimo wszystko od czasu do czasu grała Schuberta. A teraz cisza. Jak mówi Oyermah: potworna, zwiastująca zbrodnię cisza. Pakowały się i wyjeżdżały w takim pośpiechu, jakby istotnie popełniły zbrodnię albo jakby lada chwila miała je dosięgnąć czyjaś żądna pomsty ręka. Raz czy dwa razy rozległ się szloch pani Wandzi, potem jej dziwny, nerwowy ale osobliwie triumfalny śmiech; przy pożegnaniu matka pani Wandzi omiotła Kohoutka uważnym i jakby karzącym spojrzeniem, wsiadły do taksówki i już ich nie było. Matka pani Wandzi – myśli Kohoutek – patrzyła na mnie tak, jakbym to ja był sprawcą wszystkiego. Nie, to nie ja, tym razem z całą pewnością to nie ja. To one są sprawczyniami wszystkiego, pozostawiły pusty pokój, w którym niebawem ktoś zamieszka. Kohoutek jest pewien kto, choć może nie powinien być całkowicie, w stu procentach, pewien. W końcu nie jest obdarzony wielką intuicją. Wątpliwe, bardzo wątpliwe, by w jakiś sposób udzieliła się mu intuicja jego kobiet. Choć niewykluczone.

Kohoutek wsiada do pociągu. Tym razem jednak nie szuka niczego godnego uwagi, nie zagląda cierpliwie do kolejnych przedziałów w nadziei, iż trud jego zostanie nagrodzony. Do odjazdu została jeszcze masa czasu. Kohoutek siedzi przez chwilę na miejscu, potem wychodzi na korytarz i otwie-

ra okno. Przed budynkiem starego dworca stoi osowiałe dziecko Kohoutka i z niepojętym smutkiem gapi się przed siebie.

– Muszę je wreszcie kiedyś zabrać do ogrodu zoologicznego – szepce do siebie Kohoutek i czuje dziwny ucisk w sercu, w gardle – tyle razy przyrzekałem – i nagle Kohoutek zaczyna wołać swoje dziecko po imieniu, macha ręką, ono zaś rozgląda się wkoło, wprawdzie jakby przestraszone, wreszcie dostrzega Kohoutka i szaleńczym, dziecięcym pędem rusza w jego kierunku. Kohoutek pomaga wspinać mu się po schodach, potem przez dobrą chwilę nie jest w stanie wypowiedzieć słowa.

– Wieczorem zadzwonimy do mamy, a jutro pójdziemy do ogrodu zoologicznego – mówi wreszcie.

Pociąg rusza. Kohoutek i jego dziecko stoją w oknie i spoglądają na rozciągającą się w dolinie rodzinną, zamieszkałą wyłącznie przez ewangelików augsburskich miejscowość Kohoutka. Powietrze z wolna szarzeje, w domach zapalają się światła. Stąd, z wysokiego kolejowego nasypu, widać wszystko jak na dłoni. Widać kościół, parafię, pocztę, ośrodek sportowy, cmentarz na spadzistym zboczu. Widać starą rzeźnię i wielki drewniany dom, w którym umiera doktor Oyermah. Na strychu starej rzeźni stoi Oma i bezradnie rozgląda się dokoła. Nie ma tu nikogo. Oma bezgłośnie szepce coś do siebie. W rękę trzyma owiniętą w papier śniadaniowy babkę drożdżową. Kuszykając, błądzi wśród kartonów, odwija papier, zjada kawałek babki, czeka jeszcze przez chwilę, przez chwilę daremnie wypatruje, potem chowa ciasto w jednym z pudełek i szykuje się do mozolnego powrotu na ziemię.

W zupełnej ciszy wypełniającej stary ciemny dom, doktor Oyermah słyszy daleki łoskot odjeżdżającego pociągu. Bezwładnie leży na kanapie. Dalej ma na sobie brudnożółtą, tweedową marynarkę, czarne spodnie, niebieską koszulę. Opuściły go wszystkie siły. Raz po raz zapada w głęboki jak otchłań sen. Ciemne wody wieczności podnoszą się coraz wyżej, fala płynie za falą, powieki przeistaczają się w kamień. I przed starym doktorem otwierają się wszystkie drzwi przez które kiedykolwiek przechodził. Otwiera się wielka żelazna brama wiodąca na podwórze. Otwierają się drzwi do sieni, do lodowni, do ostatniej izby. Otwierają się drzwi do kuchni, do magazynu, do starej rzeźni. Otwierają się drzwi do wszystkich stajni i obór, do których wchodził, by ratować zwierzęta lub skracać ich męczarnie. Otwierają się drzwi do piwnicy i otwierają się drzwi na strych. Otwierają się drzwi wszystkich knajp i barów, w których biesiadował. Otwierają się drzwi domów i bramy kościołów, otwierają się ogrodowe furtki i wrota wielkich dziedzińców. I Franciszek Józef Oyermah raz jeszcze przekracza wszystkie progi. Otwierają się przed nim drzwi hoteli, w których mieszkał. Otwierają się przed nim drzwi pensjonatu „Luisendorf”. Otwierają się przed nim pokoje gościnne, sypialnie i jadalnie. Za ostatnimi, pokrytymi spękana, łuszczącą się farbą drzwiami jest prosta piaszczysta ścieżka. Oyermah kroczy tą łagodnie wznoszącą się drożyną i rozgląda się zdumiony. Czyżby w takiej chwili – myśli – czyżby w takiej chwili można było się spóźnić? – Ależ nie! Ona jest. Biegnie ku niemu w ciemnej, letniej sukience. Obejmuje go za szyję z całych sił. Potem bierze go za rękę i prowadzi w stronę niesłychanych, pełnych światła krajobrazów, wiedzie go tam, gdzie ciemne wody i gęste obłoki. Ale Oyermaha wcale nie ogarnia ulga lżejsza od powietrza,

dalej czuje swą pełną udręki samotność, dalej czuje ból w każdym zakątku ciała. I nagle pojmuję, że wcale nie chce się rozstać ani ze swą samotnością, ani ze swym bólem. I staje na środku ścieżki i wyrywa swą dłoń z nagle zacisniętej z niespotykaną siłą dłoni Akiko i mówi ze złością:

– Dziękuję bardzo, teraz, droga Akiko, nie mam najmniejszej ochoty. Trzeba było mi się oddać w trzydziestym dziewiątym albo przynajmniej nie leżać natychmiast do pokoju tego pętaczyny. Co ty myślisz – krzyczy – że ja będę się całą wieczność błąkał po twoich pogańskich zaświatach? Mowy nie ma! – I Akiko, nim zdąży przybrać obrażoną minę, znika, znika piaszczysta ścieżka i znikają niesłychane, pełne światła krajobrazy. Oyermah budzi się i spogląda na niebieski piec, na pianino, na wiszącą na ścianie reprodukcję „Ostatniej Wieczerzy”. Czuje się jak po wielkiej chorobie, osłabiony ale osobliwie odnowiony i oczyszczony. Wstaje z kanapy i podchodzi do okna. Jest mroźny poranek kolejnego dnia. Powietrze jaśnieje. Wszystko okrywa gruba warstwa opadłego w nocy śniegu. Na stoku przeciwległej góry widać czyjaś sylwetkę. Wysoko, tam, gdzie kończą się sadyby ludzkie, ktoś brnie z mazołem przez białe płaszczyny, ktoś zmierza ku jodłowym lasom. Oyermah mruży oczy i jest pewien, że widzi figlarny kapelusik, plecak na szczupłych ramionach i ogromną walizę, która pozostawia w śniegu nieczytelne ślady.